Nr. 36. Warszawa, dnia 26 Sierpnia (8 Września) 1900 r. **Rok XX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

JUBILEUSZ STAMBULSKI.

Panujący sułtan Abdul Hamid nie zajaśnieje w historyi Turcyi ani wielkością, ani świetnością swych rządów; ale zapewni w niej sobie miejsce niezwykłe samą długością swego panowania: udało mu się przesiedzieć na tronie 24 lata gregoryańskie a 25 tureckich. Dnia 31 sierpnia 1876 r. pochwycił chorągiew Islamu, d. 31 sierpnia 1900 r. obchodził z tą chorągwią swój jubileusz. Od wdarcia się Turków do rodziny europejskiej, tak wzruszająco zgodnej, jest on szóstym władcą wiernych, któremu los pozwolił doczekać jubileuszu na tronie. Tylu już przed nim przedwcześnie wędrowało przez most nad otchłanią, zrobiony z ostrza miecza: on lat swoich dożył i pierwszy z sześciu wybranych urządził sobie jubileuszową uroczystość. Nie pomyślał o niej bohater z 29 maja 1454 r., ale nie zapomniał człowiek, którego działalność obywała się zupełnie bez bohaterstwa, a sztuka rządzenia ograniczała się na zajęczej genialności wymykania się myśliwym.

Okoliczności, wśród których jubilat objmował władzę, nie wróżyły mu długiego panowania, własne zaś jego przyczynienie się do nich stwierdziło wymownie znane tradycye sułtanatu. Było to podczas wojny z Serbami. Dnia 30 maja 1876 r. w dziejach Turcyi odegrały wielką rolę nożyczki Abdul-Assiza; w trzy miesiące później, d. 31 sierpnia, jego następca, Murad (Amurat) był już uniezdolnionym do rządów szaleńcem czy cherlakiem i chalifat dostał się dziś jeszcze panującemu właścicielowi Ildyz-kiosku. Trzydziesty trzeci potomek Osmana przychodził do władzy jako zwolennik postępu, wykarmiony pojęciami, zaszczepionemi przez dzielnego człowieka, któremu system rządów tureckich nie pozwolił stać się człowiekiem wielkim — przez Fuada. Z jednym z jego spadkobierców umysłowych, Midhatem, 34-letni już człowiek związany był stosunkiem ścisłej, nietylko umysłowej przyjaźni. Przekonania jego i dążności nie mogły być przemijającym fałszywym apetytem młodości. Towarzysze Midhata, którzy niewątpliwie ułatwili Muradowi obłąkanie, mieli prawo po Abdul-Hamidzie spodziewać się tego odrodzenia państwa, a przez nie i społeczeństwa, które stanowiło program fuadowski w życiu wewnętrznem.

Już za Murada wydano urzędownie hasło reformy, sięgającej do podstaw. Administracya miała być z gruntu przekształconą, a rządzeni dopuszczeni do rządów. Powołano do życia radę stanu, która przy płomieniach wojny z Serbami przyjęła projekt konstytucyi, opracowany głównie przez Midhata. Gdy Abdul-Hamid przepasał się mieczem, wszystko miało szybko pomknąć ku porządkowi, na który wieki całe czekały. Państwo traciło charakter stepowy, obóz ustępował urzędowi, własność sułtańska stawała się wspólnem dla wszystkich posiadaniem stanu politycznego — i samego państwa. Panowanie rozpoczynało się dobrze i pod względem potęgi: zwycięztwa nad Morawą, wzięcie Aleksinaczu wzmocniły samowiedzę, ośmieliły stronnictwo postępowe wobec zaciekłości duchowieństwa, które fetwami swymi mogło w razie klęsk podjętej sprawie zagrozić. W drugiej połowie grudnia Abdul-Hamid mianował Midhata wielkim wezyrem. Midhat miał już konstytucyę gotową: d. 23 grudnia 1876 r. ją ogłosił. Sułtanowie zapewniali w niej nietykalność osób i majątków, wolność prasy, petycyi, zgromadzeń, nauczania, prawo budżetu i stawiali zasadę obowiązkowej nauki elementarnej dla wszystkich mieszkańców, którzy przez wybranych swoich wpływać mieli na rząd.

D. 5 lutego 1877 r. nagle Midhat dostał dymisyę. D. 12 marca pomimo to zebrał się pierwszy i jedyny sejm wolny turecki. Dzieło Midhata przetrwało go, ale nie na długo, ówczesny wielki wezyr Ruszdi, nieprzyjazny swobodom politycznym i ruchowi reformatorskiemu, postarał się je zgładzić. Posiedzenie z d. 10 kwietnia było ostatniem. Odtąd zaczęła się reakcya, Europa musiała podjąć sprawę, układać t. zw. punkta mahmudowskie, które nigdy w wykonanie nie weszły. Skończył się szybko liberalizm Abdul-Hamida, a klęska ostateczna w wojnie z lat 1877 i 8 ułatwiła mu powrót na wyrobioną już przez wieki kolej sułtanatu. Trzymać się kolei było i najbezpieczniej i najwygodniej. Zawracano gwałtownie ku przeszłości, nietylko z własnej woli, ale i z pobudek dyplomatycznych. Midhat-przyjaciel dostał się pod sąd za zabicie Abdul-Assiza, skazany na śmierć, ułaska-

wiony do Arabii, pozostawił po sobie tylko zasiew Młodej Turcyi, który ptacy wydziobali — tak, iż dziś bystre tylko oko gdzieniegdzie jeszcze dostrzeże zmarniałe ziarenko. Zapewnienie sprawiedliwości wszystkim poddanym objawiło się w latach 1894—6 występną pobłażliwością i niedołęztwem z niej płynącem podczas rzezi armeńskich. Samowola i nieład pozostały, jak były. Turcya trzyma się tylko swoją martwotą: jest to właśnie zasługą Abdula, że umie na tym martwym punkcie czynniki jej upadku trzymać. Dla kultury przytem ma głowę dość otwartą. I to wszystko, co w szybkim przelocie z jego 24-letniego panowania myśl pochwycić mogła.

Listy o Galicyi.

IV.

Kraków, 2 września.

Zjazd demokratyczny. — Walka o oświatę ludową.

W życiu politycznem Galicyi zanosi się na poważne zmiany. Stronnictwo demokratyczne, które dotąd szło potulnie na pasku konserwatystów, poczęło poważnie myśleć o wydobyciu Galicyi z pod przewagi żywiołów wstecznych, a to za pomocą sojuszu wszystkich stronnictw opozycyjnych w kraju. Pracę tę rozpoczęli demokraci galicyjscy od reorganizacyi stronnictwa własnego. W tym celu urządzili 20 z. m. we Lwowie ogólny zjazd stronnictwa demokratycznego, w którym wzięło udział 80 posłów na sejm i do Rady państwa, oraz mężów zaufania stronnictwa.

Najżywiej dyskutowano na zjeździe nad następującemi dwiema sprawami: 1) czy zerwać stanowczo z instytucyą szlachetną, zwaną centralnym komitetem wyborczym i czy wystąpić z wiedeńskiego Koła polskiego; 2) czy łączyć się ze wszystkiemi stronnictwami opozycyjnemi, czy też pominąć najskrajniejsze?

Nad pierwszą kwestyą wywiązała się dyskusya przy obradach nad programem, nad drugą zaś — przy obradach nad taktyką stronnictwa.

Sprawę programu referował poseł dr. Rutowski: „Gdy wokoło nas kraje i ludy rosną w moc duchową, materyalną, polityczną, w bogactwa i potęgę, a przodem idą te, co nam są wrogie, postępy nasze idą żółwio, na wielu polach zastój, jeżeli nie zacofanie, straszne objawy nędzy kraju, siły nieużyte marnieją, skarby rodzime przechodzą w ręce obce, rolnictwo ledwie dyszy, rękodzieła wraz z mieszczaństwem w upadku, przemysł nie wychodzi z powijaków. Analfabetyzm cięży na milionach, masa ludowa wzrasta bez zarobku, bez warunków ludzkiego bytu, tysiące chwytają za kij wychodźczy. Rozbicie społeczne, waśń i walka klasowa, coraz nowe czynniki, co dzielą, nie co łączą. Na całem życiu publicznem ciąży zastój i marazm—kraj stoi wobec grozy położenia wewnętrznego bezradny, bezczynny prawie.

„Dodajmy do smutnych stosunków wewnętrznych straszny zastój w państwie, grożący monarchii rozkład, upadek konstytucyonalizmu. Paraliż, który zatrzymał funkcye państwa, ubezwładnia ustawodawstwo, administracyę, działalność publiczną, bez której narody się cofają, ubożeją, marnieją. Oto bilans rzeczy publicznej."

Odpowiedzialność za te straszne zjawiska program składa na konserwatystów.

„Stronnictwo konserwatywne, oparte o wielką własność ziemską, spadkobierczynię stanowiska historycznego w narodzie, jakie miała szlachta polska, objęło z nastaniem ery konstytucyjnej dawną rolę przewodnią, panowanie polityczne i rząd kraju. Idąc przodem w walce o stanowisko i prawa kraju, oddawszy niemało krajowe i narodowe zasługi, stronnictwo konserwatywne w miarę czasu przywykało do władzy i rządu — posiadłszy mandaty poselskie z kuryi wiejskiej, wpływem, użyciem i nadużyciem wszystkich czynników władzy objęło w posiadanie ster kraju, stało się olbrzymią większością w sejmie i w polskiej delegacyi Rady państwa, położyło rękę na najwyższych organizacyach krajowych.

„Przez długie posiadanie władzy, w przeświadczeniu, że czynniki, na których ona się oparła, są trwałe i niezmienne, stronnictwo konserwatywne zamieniło się w oligarchię, która przyszedłszy do władzy i panowania, traciła poczucie całości spraw i zadań, zacieśniała swój horyzont i stawała się coraz wyłączniej dbałą o własne, *kastowe*, klasowe interesy."

„*Rządy stronnictwa konserwatywnego, to jedno pasmo majoryzacyi, przewagi i bezwzględności: W kraju i w Wiedniu.*"

„Najumiarkowańsze, najbardziej usprawiedliwione, w najowszechniejszym interesie potrzebne dążenia demokracyi polskiej znajdowały przed sobą ligę wstecznictwa, która w każdym objawie żywszej myśli, ruchu demokratycznego wśród inteligencyi narodu, w miastach, w ruchu ludowym, cóż dopiero w masach, widziała objawy nieusprawiedliwionych pretensyj, burzycielstwa, buntu czy anarchii.

To samo w Wiedniu. Nie mając jasno wytkniętego celu dążeń krajowych, myśląc o takich rezultatach polityki wiedeńskiej, któreby kaście i klasie rządzącej zapewniły trwałe panowanie w kraju, *nadużywając nieraz wielkich haseł narodowego interesu solidarności Koła polskiego*, która jedynie dla wielkich celów krajowych łączy przedstawicieli konserwatyzmu i demokracyi polskiej w jednej organizacyi, delegacya polska wysługiwała się nieraz rządom i stronnictwom, że miara usług kraju dla państwa, dla większości parlamentarnych, nie odpowiadała korzyściom odnoszonym dla kraju."

Dalej program wskazuje coraz bardziej postępujące uobywatelenie i unarodowienie mas mieszczaństwa, ludu wiejskiego i Żydów.

„Stronnictwa demokratyczne w kraju, stojące na gruncie demokracyi narodowej, chcą i muszą się znaleźć razem. Więc bez zatraty poszczególnych właściwości, bez naruszenia swej samodzielności i ciaśniejszych programów, na pierwszy plan wysunąć się musi to wszystko, co nas łączy, co wspólne, co bliskie. Wspólne cele, konieczność wybierania wspólnych dróg i środków, przyczynią się niezawodnie do usunięcia nieporozumień, ciasnej nietolerancyi."

Przeciw unii stronnictw konserwaty-

Marya Grossek.

APOTEOZA.

Jak dobrze widać przy świetle księżyca
Okrągły kwietnik, rzucony przed ganek!
Wkoło obręczą wjazdowa ulica,
A szpaler parku tworzy drugi wianek.
Dom go w nagłówku srebrną klamrą spina,
Świecą się szybki z pod gęstych firanek
Spadającego w dół dzikiego wina.
Po kilku stopniach, jak do perystylu,
Do drzwi się idzie między dwa filary —
Tu, pod natłokiem wspomnień tylu... tylu...
Stoją, jak w ziemię wkopane, dwie Mary.
A potem, niby znużone okropnie,
Siadają obok siebie na te stopnie,
Gdzie do miłosnych niegdyś pogadanek
Siadali w takie, jak dzisiaj, wieczory...
Szczęśliwa para: kochanka, kochanek...
I dziś tak samo... tylko z nich — Upiory!

Z głową, na ręku wspartą na kolanie,
Siedzą w milczeniu Upiory pielgrzymie,
Po wysrebrzonej od księżyca ścianie
Rzucają z tyłu dwa cienie olbrzymie.
Te same świecą przed nimi gwiazd grupy
Na firmamentu wiecznym baldachimie,
Co się koliście opuszcza na słupy —
Amfiteatrem rosnące jawory
Z głowicą w liściu, z pniem srebrnym od kory.

Ta sama gwiazda w wierzchołków zatoce
Lśni na perłowo-liliowym lazurze
Nad widniejącą w skróceniu aleją —
Tak samo listek z listeczkiem szczebioce —
Światła i cienie gonią się po murze —
Wietrzyk skrzypiącą bawi się wierzeją —
Tak samo kwili słowicza piszczałka —
A dusze kwiatów, różniące się wonią,
Tak, że rozpoznasz — bzem jest, czy jabłonią,
Latają — na noc opuściwszy ciałka —
Nic się w te noce majowe nie zmienia!...
Mrą pojedyncze słowiki i róże,
Giną słowików i róż pokolenia,
Ale typ wiecznie trwa w wiecznej Naturze!

Pierwszy powstając z miejsca Cień kobiecy
I wyciągniętem dotknąwszy ramieniem
Zamyślonego towarzysza w plecy,
Wskaże mu portyk pod domu sklepieniem —
Duch nie podnosząc się, spojrzy przez ramię
I utkwi oczy w dwóch filarów bramie...

Tam!... w wieczór jednej majowej niedzieli
On w towarzyszów, ona w panien gronie
Wracając z parku przy dźwiękach kapeli,
Ona, trefiony włos z kwiatami w bieli,
On, także strojny, roześmiani, weseli,
Jeszcze nie znając się... na tym peronie
Naprzeciw siebie pierwszy raz stanęli.

Czy sobie zwykłe oddali ukłony?!...
Nie wiedzieć?!... ręka czy spoczęła w ręku?!...
Bo on, jak wzroku piorunem rażony,
Drgnął... w tył się podał, bledniejąc na licu;
Usta otworzył, jakby do okrzyku,
Chociaż nie wyszło z nich żadnego dźwięku...
I chwiejnym krokiem cofnął się z portyku —
— Wszystko to było, jak dziś, przy księżycu! —

„Duch mój zawisnął" — (tak do niej powiedział,
Tłomacząc potem swoje zachowanie)

wnych staje unia stronnictw demokratycznych.“

„Stronnictwa demokratyczne dążyć muszą wspólnemi siłami do zdobycia w sejmie i w Radzie państwa takiego stanowiska, na jakie liczbą, świadczeniem publicznem, pracą i inteligencyą zasługują. Słowem — do zdobycia większości.“

Następują szczegóły programowe, roztrząsające najbliższe zadanie demokratów.

„Nie wolno nam zapominać, że w granicach monarchii mamy dotąd niespełnione obowiązki względem Szlązka i Bukowiny. A i w kraju naszym dalecy jeszcze jesteśmy od pełni praw językowych.

Z bratniem uczuciem dla Rusinów, poprzemy ich dążenia zdolne utrwalić wspólność naszych interesów krajowych i narodowych.“

„Uważając rozdział dworu i gromady, który osłabił podstawy organizmu narodowego, podwalinę wszelkiego społecznego, politycznego, samorządnego ustroju, gminę wiejską, za nieszczęsny, dążyć będziemy do takiej reformy gminnej, która to połączenie przywróci.“

„Dążyć będziemy dalej do *rozszerzenia praw wyborczych* na masy coraz większe, do utrwalenia i rozszerzenia praw i swobód obywatelskich, *do usuwania wszelkich nierówności wobec prawa*, wszystkich pęt, ograniczeń krępujących rozwój, swobodny rozrost sił.“

„Jednem z najbliższych zadań będzie usunięcie z sejmowej ordynacyi wyborczej *niesprawiedliwego rozdziału mandatów między kurye, ograniczeń wolności wyborczej, wyborów pośrednich i jawności i zaprowadzenie do sejmu kuryi piątej z głosowania powszechnego.*“

W dalszym ciągu program zajmuje się sprawą ochronnego ustawodawstwa robotniczego, popierania rozwoju przemysłu, handlu i taniego kredytu. Kulminacyjnym jednak ustępem programu są trzy punkty następujące:

1) Łączność i porozumienie w działaniu z innemi stronnictwami demokratycznemi w kraju i z ich posłami w sejmie i w parlamencie, o ile stoją na gruncie narodowym.

2) Zerwanie z t. zw. centralnym komitetem wyborczym.

3) Potrzeba solidarności Koła polskiego w Wiedniu.

W dyskusyi nad tym programem większa część mówców wystąpiła przeciwko utrzymaniu solidarności Koła polskiego, w którem szlachta teroryzuje mniejszość demokratyczną. Między innymi redaktor *Nowej reformy*, p. Konopiński, zwrócił uwagę na sprzeczność w projekcie programu, który poleca zerwać z centralnym komitetem wyborczym, lecz wybranym po za tym komitetem i wbrew niemu posłom, każe „poddać się większości konserwatywnej w Kole polskiem“; i w tem jeszcze jest sprzeczność, że poleca posłom demokratycznym iść łącznie z opozycyjnymi posłami polskimi, stojącymi po za Kołem, a równocześnie utrzymywać w Kole bezwzględną solidarność z większością szlachecką, rujnującą kraj. W głosowaniu jednomyślnie przyjęto projekt programu, jednakowoż wraz z dodatkową rezolucyą, wniesioną przez p. Biechońskiego, burmistrza z Gorlic:

„Zjazd uchwala wezwać posłów demokratycznych w Radzie państwa, aby w Kole polskiem zażądali zmiany statutów. Jeżeliby ta zmiana nie przyszła w pewnym określonym czasie do skutku, a nowe wybory do Rady państwa zostały zarządzone, natenczas prezydyum zjazdu, względnie zarząd stronnictwa demokratycznego, zwoła zebranie nadzwyczajne do Lwowa tylko dla narady, pod jakiem hasłem odbyć się mają wybory do Rady państwa.

O *organizacyi* stronnictwa referował poseł Romanowicz, na którego wniosek utworzono stały zarząd partyjny.

O *taktyce* stronnictwa demokratycznego referował poseł dr. Witołd Lewicki. Zawiadomił on zjazd, że sojusz ze stronnictwem ludowem już zawarty; należy się również porozumieć ze wszystkiemi innemi stronnictwami opozycyjnemi.

W głosowaniu jednomyślnie uchwalono wnioski referenta co do porozumienia się ze wszystkiemi opozycyjnemi stronnictwami polskiemi, oraz wyrażenie ubolewania tym posłom, którzy urządzili secesyę z sejmowego klubu demokratycznego.

Czy powzięte na zjeździe uchwały z frazesów na papierze zmienią się w czyn doniosły w skutkach swoich, czy nastąpi istotnie koncentracya stronnictw opozycyjnych i energiczna walka z wstecznictwem, niedaleka przyszłość pokaże.

Na razie mamy już do zanotowania jeden fakt dezercyi z pod nowego sztandaru. Przebieg tej dezercyi jest typowy dla stosunków galicyjskich: W pracach, poprzedzających zjazd, brali bardzo żywy udział: prezydent m. Lwowa dr. Małachowski i wiceprezydent Michalski. Tymczasem dowiedział się o gotującej się „rebelii“ namiestnik hr. Piniński, który właśnie wrócił z Monaco; przedsięwziął on „pewne kroki,“ których rezultatem było usunięcie się obu tych dygnitarzy autonomicznych i wielu innych mieszczan lwowskich od zjazdu demokratycznego. Przedewszystkiem Małachowski nie dostał zaproszenia na obiad „cesarski“ w d. 18 sierpnia. Było to pierwsze ostrzeżenie, a dr. Małachowski w lot zrozumiał sytuacyę... Gospodarka gminna miasta Lwowa znajduje się obecnie w tak opłakanym stanie, że miastu grozi rozwiązanie rady miejskiej przez rząd i oddanie administracyi miasta w ręce komisarza rządowego. Groźba ta wisi jak miecz Damoklesa nad głowami lwowskich rajców miejskich. Zarząd miasta jest źródłem intratnem, z którego zwłaszcza lwowscy rajcowie umieją czerpać dostawy, roboty, posady, protekcye. Łatwo więc zrozumiałem jest, że groźba rozwiązania rady miejskiej podziałała na nich „otrzeźwiająco.“ Aby p. namiestnik raczył na ich gospodarkę patrzyć przez palce, rzucono zasady na pastwę stańczykom i klerykałom. Rajcowie i cechmistrze lwowscy uchwalili więc sprzedać interesy mieszczaństwa, aby uratować swoje posady, posadki i wpływy. Pośrednikiem w tej zdradzie politycznej był urzędnik magistratu lwowskiego i naczelny redaktor antysemickiego *Dziennika polskiego*, dr. Ostaszewski-Barański.

Tak się w Galicyi „robi“ politykę.

(D. n.) *Vivus.*

Tydzień polityczny. Okólnik ministeryum spraw zewnętrznych do posłów z d. 25 sierpnia wskazuje linię wytyczną jego polityki: wycofanie z Pekinu zarówno wojska jak poselstwa i zawiązanie układów. Dotychczas gabinety współdziałające nie zgodziły się na pośrednią propozycyę w okólniku zamkniętą; nawet Francya nie.

„Na jednym włosku, stanowiącym przedział
Między otchłanią bycia i nie — bycia...
„Na kresie uczuć... skąd, jeśli duch stanie,
„Może już więcej nie wrócić do życia!“ —

A jej wypadły z rąk fijolków pęki,
Chustka, wachlarzyk — więc, zgiąwszy kolana,
Długo je w fałdy zbierała sukienki,
By ukryć jaka w twarzy zaszła zmiana,
Lecz już z przekąsem szeptały panienki,
Spostrzegłszy lic jej szkarłatny rumieniec:
„Oblubienica — albo — oblubieniec.“ —

Miejsce, co było teatrem tej chwili,
Dopełnia obraz, tkwiący w Widm pamięci —
Patrzą!... tak żywo tą sceną przejęci,
Jak gdyby w powrót czasu uwierzyli...
Patrzą!... na swojej malowidło myśli...
I jak po deszczu liść zwiędłych badyli
W górę zwieszone prostują się głowy;
Twarz, oczy życia nabierają wdzięku!...
I oni, przedtem znużeni, obwiśli,
Idą wesoło prawie, ręka w ręku
Przez chodnik z wielkich kamieni ciosowy
Do drzwi wchodowych w ostrobramnym łęku.

Drzwi wielkie, zbrojne w żelazne okowy,
Pozasuwane na rygle i zamki
Strzegą milczącej i ciemnej budowy —
Śpią ludzie... Jeden Duch dotknął się klamki,
Co w nocnej ciszy szczęk wydała ostry,
Aż Duchy pierzchły, jak spłoszone ptaki,
On sobą postuć zasłaniając Siostry —
Tak przeczekawszy w trwodze czas niejaki,
Ostrożnie między drzwiami i futryną
Z wiatrem wciskają się wewnątrz szczeliną.

Ciche i ciemne wielkiej sieni wnętrze —
Gdzieś tylko cyka w zegarze wahadło,
Westchnie pierś śpiąca, szaśnie prześcieradło...

Widmo kobiece lotniejsze i prędsze
Wionie stąd prosto przez kamienne schody
Do swej komnaty dziewiczej na piętrze,
Która oknami patrzy na brzeg wody —
Tu nikt nie sypia, wchodzą bez przeszkody.

Ileż on razy pragnął być jaskółką,
Żeby w to okno wybite wysoko
Posłać na zwiady, choćby ptasie oko...
Stąd nie raz wonne rzucone mu ziółko!

Tu, w tym błękitnym, narożnym alkierzu
Ona, nocując kiedyś z przyjaciółką,
Zdradzała we śnie serca tajemnicę...
„Kocham,“ — nabożnie szepcząc jak w pacierzu,
„Kocham“ — mówiła w uśpieniu głębokiem...
Te słowa drugą zbudziły dziewicę —
„Coś powiedziała? — co ty mówisz? — o kim?...“
Bada ją, ręką wsparłszy o wezgłowie...
„Kocham go! Kocham!“ — uśpiona odpowie...

Próżno ją tamta w pół z poduszek dźwignie
I mocno wstrząsa za oba ramiona,
Myśląc, że dziewczę to bredzi w malignie;
Próżno ją burczy, co robić niepewna —
Uśpiona leci z rąk, jak kawał drewna,
Z czoła jej spada warkoczy korona,
A usta szepczą spieszczone imiona,
Które z jednego wyrazu urabia
Miłość, co imię to, jak skarb, rozdrabia.

Wreszcie się ze snu otrząsłszy — przyklękła
Na brzegu wspólnej, dziewiczej pościółki
I zasłoniwszy twarz „kocham go“ — jękła
Do siebie raczej — niż do przyjaciółki...
Listek jej serca, jak rosiczki — czułki,
Ukrywał w sobie muszkę lśniącą złotem,
Miłość... i nic jej nie powiedział o tem... —
Aż się raz we śnie liść serca rozwikła,
Księżyc łaskocząc, brzeżki mu rozchyla...

pochwyciła jej odrazu: namyśla się. Anglia i Niemcy objawiają chęć pozostania, a opinia jest za związaniem się obu mocarstw, szerząc jednocześnie pogłoskę, jakoby Rosya zostawiła Niemcom wolną rękę nietylko w Szantungu, ale w Pe-czyli. Ces. Wilhelm pod działaniem okólnika zaniechał namaszczenia swem słowem oddziału, który w tym tygodniu odpływał do Chin. Hr Waldersee z Adenu już wysłał pozdrowienie ojczyźnie. Jeżeli nie będzie miał komu feldmarszałkować na drodze do Pekinu, znajdzie zajęcie w Szan-tungu, ale już jako prosty generał, nie *generalissimus*, jakim go koniecznie ces. Wilhelm chciał widzieć. Układy z Europą prowadzić będzie Li-Chung-Czang, wraz z ks. Czyngiem, generałem Junghu i niejakim Hsu-tungiem. Podobno już jest dekret cesarski dla nich. Mocarstwa wszystkie jak są uznają cesarza, ale nie wszystkie uznają cesarzową. Wojska sprzymierzone na symbol zdobycia przeszły przez pałac cesarski, obsadzony załogą rosyjską.

Boerowie, zapędzani w ów róg północno-wschodni, który natura kraju sama przeznaczyła im na ostatnią widownię walki, zgromadzili się już pod Lydenburgiem w górach. Czy puszczą się dalej przez Olifant River, aby odciągnąć Anglików o kilkadziesiąt mil od środka, aż nad Limpopo? — Chyba nie. Niewielu ich już walczy, a wśród walczących niewielu chce wytrwać do końca. Sam Krüger nawet po klęsce ostatniej pod Belfastem i Dalmanuthą (stacye drogi żel. z Pretoryi do Delagoy) gotów był porzucić sprawę bez nadziei.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

FRYDERYK NIETZSCHE

II.

Ja! ich weiss, woher ich stamme!
Ungesättigt gleich der Flamme,
Glühe und verzehr' ich mich.
Licht wird alles, was ich fasse,
Kohle alles, was ich lasse:
Eine Flamme bin ich sicherlich!

Czy Nietzsche był filozofem? W uszach wyznawcy brzmi to pytanie jak herezya, jak świętokradztwo. A jednak wiele bardzo znajdziemy zasłużonych badaczy, którzy, przyznając N. wielki talent, tego tytułu mu poskąpią. Wcale słusznie ze swojego, ze współczesnego punktu widzenia. W laboratoryum psycho-fizyologicznem, u warsztatu spokojnej, zrównoważonej pracy historycznej — niema miejsca dla Nietzschego. Wogóle w tej całej tytanicznej organizacyi pracy, jaką jest nauka dzisiejsza, rozwijająca się pod rządem podziału pracy, monografii, mikroskopu — niewiadomo, gdzie go umieścić, jak segregować, jak klasyfikować. Jeżeli przysięgamy dziś na mądre słowo Spinozy: *nec ridere, nec deplorare, sed intelligere*, a więc chcemy i musimy naprzód poznać, zrozumieć, a potem dopiero w najlepszym razie—przewidzieć, to on wszak postępuje odwrotnie. Dla N. ów powolny, żmudny, najeżony przeszkodami, usiany błędnymi ognikami — proces poznawczy najzupełniej jest niemożliwy do przebycia. Raz jeden tylko, pod wpływem i przy udziale przyjaciela swego Pawła Rée (było to jeszcze w dobie, kiedy N. hołdował pozytywizmowi) starał się dłuższą chwilę zatrzymać myśl swoją przy zagadnieniu „historyi uczuć moralnych,“ które badał według metody moralistów angielskich. Temperament skrócił tę chwilę; ślad po niej, wyznać należy, został nader niewielki. Powiedzieliśmy, że N. postępował „odwrotnie.“ Zaczął od przewidywania i od nakazów. Miast kapeluszem doktorskim, otoczył swą piękną głowę nimbem wizyj proroczych. W taki sposób procedura naukowa ulega znacznym ułatwieniom, wątpliwości giną, albowiem wypadnie tylko chcieć, a one same znikną. Wątpliwości nasuwa przedewszystkiem badanie człowieka i obyczajowości w historycznej perspektywie; na każdym kroku przeszkody: oddzielne włókienka psycho-fizyczne tak jasne w oderwanem sformułowaniu, w rzeczywistości dziejowej łączą się ze sobą, tworzą sploty, zawiązują się w węzły. Cóż tu począć? Postępując umiejętnie należy spokojnie, metodycznie, tj. genetycznie postarać się każdy węzeł rozplątać, do każdego włókienka podejść możliwie zosobna, inne natenczas podwiązać itd. Rzecz to niepomiernie trudna, często niepokonana — wysiłki całkowitego życia całych pokoleń badaczy idą na marne, nie posuwając wiedzy naszej naprzód! Albo, idąc za wskazaniem temperamentu, postąpimy tak, jak Nietzsche. Naprzód oskarżenie wieku, chmurne a górne, ostateczne i beznadziejne; następnie magiczne dotknięcie różdżki proroczej: utopijny błogostan, przyćmiewający przepychem swoim wszelkie marzenia milenistów i bellamistów. Ależ jak dojść do niego? Ależ te sploty i węzełki, takie proste napozór, jednak w rachunku przyszłości piętrzą się zawałami wątpliwości, pytajników? I oto temperament po drodze najmniejszego oporu wszystko rozwiązuje: precz z historyą, precz ze statystyką, precz z tradycyą! Bieg jego myśli jest w tem miejscu mniej więcej taki. Profesor filologii greckiej w Bazylei w swoich studyach helenistycznych zauważył, że w grecyi obok jasnego światła apolinowego świeci także przyćmione, mgłą namiętności owiane, ciężkie światło Dionyzjusza-Bacchusa. *Evoe Bacche!* chciałby zawołać za korybantami, uderzając w pijano tympany, *evoe Bacche!*, to jest życie, żądza życia, wszechpotężna żądza i wola władzy (der Wille zur *Leben* — Wille zur *Macht*). Cóż pomoże wołanie? Ludzkość pozostanie głucha; echa niema, albowiem rezonansu być nie może w powietrzu nasyconem historyzmem i moralnością. „Historya nas czyni przedmiotowymi, osłabia naszą indywidualność, nasze instynkty; hamuje prawidłowy rozwój, opóźnia albo przyspiesza dojrzewanie; osobowości harmonijne są pod jej rządem niemożliwością; poddaje wiarę, że się jest epigonem; jest zajęciem dla starców; siwizną wrodzoną, nasiąkłą średniowiecznem *memento mori*... Najwięcej zaś niebezpieczeństwa zawiera pisanie dziejów ze stanowiska mas, które co najwyżej zasługują na uwagę „jako kopie wielkich ludzi na złym papierze i zapomocą zużytych klisz, jako narzędzie dla wielkich ludzi, po za tem pal ich dyabli i statystyka!“

Druga przeszkoda — to moralność, moralność niewolników, która początek swój bierze u Żydów, a w chrześcijaństwie dosięga zenitu. Moralność szarych ludzi wogóle, drobiazgu społecznego, chłopów i robotników! Tę moralność trzeba przeobrazić; „plebs — trzoda — niewolnicy“ powinni zamilknąć; nie to powinno być uważa-

---

I dusza we śnie ujrzała motyla,
Co w sercu mieszkał... i przez sen w niej krzykła.
Gdy Cień kobiecy tych wspomnień dotyka,
Stojąc w sypialnej niszy pod framugą,
Drugi cień siadłszy na stopniu klęcznika,
Z tej samej przędzy snuł nić wspomnień drugą...

Wspomniał!... ongi ta mała komnatka
Jakiż to czarów był dla niego Eden!...
Pamięta... jak był w niej raz tylko jeden
Dzięki uprzejmej pomocy bez świadka...

U drzwi czuwały ostrożne wspólniczki,
Gdy on całował nieobecnej pani
Rzucone suknie, książki, rękawiczki...

Tak samo księżyc drży w zmarszczonej wodzie!
Tak samo sennie kołyszą się na niej
Czarne, do brzegu przywiązane krypy;
Tak samo pluszczą rybołowne łodzie;
Tak samo brzegiem stoją czarne lipy
I ten sam zwisły konar w wodzie moknie,
A obok druga topól kolumnada;
Ta sama mostu nad rzeką arkada
Z łukiem w powietrzu, jak otwarta brama. —
Wszystko!... jak codzień widywała w oknie
Niegdyś. — Natura została ta sama.

*

Natura!... jest to stara, wieczna rama,
W której się tylko zmienia obraz życia,
Nawet nie obraz, a jego odbicia,
Które kopiuje wciąż ta sama ręka
Z oryginału — bo wciąż płótno pęka.

*

Obydwie mary do okna przybiegły
Nad doniczkami laków i ułanek *)
Po okolicy patrząc się przyległej...
A gmach ich wspomnień rosnął z chwil, jak z cegły!

Po nocy zwierzeń — przyszedł zdrady ranek!...
Ledwie otwarła okno na krużganek,
Wstawszy nazajutrz, by orzeźwieć w chłodzie,
To, co naprzeciw ujrzała w ogrodzie,
Z po za spuszczonych patrząc się firanek,
To była zdrada! — niewątpliwa zdrada!:
Jej przyjaciółka, a z nią jej kochanek
Chodzą naprzeciw lipową aleją...
Pomiędzy niemi trwa jakaś narada...
A z min i z gestów, z tego jak się śmieją,
Jaki jest w ruchach i w mowie przestanek,
Jak ją odgadłszy, zapadli w milczenie —
Łatwo przeniknąć treść ich pogadanek:
Że to jest zdrada! — niewątpliwa zdrada!...
Tamta o nocnej z nim rozmawia scenie!
O jej zwierzeniu przez sen opowiada!

Na tem wspomnieniu pokój pożegnali!...
I wzdłuż drewniany przeszedłszy krużganek,
Zeszli w dziedziniec formatu podkowy,
Miejsce gołębi, pawi, afrykanek,
Wciśnięty w skrzydła półkrągłej budowy,
Gdzie drobna trawka na słońcu się smali...
Tu, po tej w nocy pamiętnej przygodzie
I po tej zdradzie spełnionej w ogrodzie,
Tu się aż w wieczór pierwszy raz spotkali.

Bo przez dzień cały jej nie było w domu!...
Wydany sekret takim wstydem pali,
A oburzenie i gniew na zdrajczynię,
Że poszła z domu, jak mogła najdalej,
Aby nie widzieć dwóch wspólników w winie
I nie pokazać oczów z nich nikomu.

Na koniec parku ścieżki ją zawiodły,
Gdzie w zagajnikach młode stały jodły —
Tak się w tej gęstej zaszyła jedlinie
I w jałowcowych krzach, co dołem rosły,
Że jej tam żadne nie znalazły posły.

*) Inaczej fuksya.

nc źa dobro, co jest dla nich pożyteczne, a więc szare, średnie, ale to, co przechodzi pojęcie trzody, co od niej odbija. A więc cywilizacya, życie w związkach czyni ludzi słabymi! Słyszeliśmy już to oskarżenie, coś przed stu z górą laty, to nie nowalija, to tylko—*Rousseau-redivivus.* A głównym czynnikiem tego osłabienia jest chrześciaństwo, bowiem cywilizacya nasza jest chrześciańską. Słowem Ecrasez l'infâme! — zupełnie tak w zeszłym jeszcze stuleciu wołał *Wolter.* I oto mamy dwa źródła, t. zw. oryginalności Nietzschego!

Jeżeli będziemy w dalszym ciągu przyglądać się krytycznie „tekstom," to odkryjemy, że zapożyczenia wątków i wzorów dadzą się odcyfrować na każdym kroku. Tak np. weźmy jego pogląd na znaczenie i zadanie filozofii w społeczeństwie: „Filozof jest wychowawcą ludzkości, jest tyranem ducha, nowe wartości moralne tworzącym; właściwi filozofowie są prawodawcami; mówią: tak ma być i określają drogę i cel życia człowieka, sięgają ręką twórczą po przyszłość, ich poznanie jest twórczością, ich twórczość — prawodawstwem, ich pożądanie prawdy — żądzą władzy." Jeżeli uwolnimy tkwiące w tych zdaniach pojęcie od ciężaru określeń słownych, stylowych, to przekonamy się, że zupełnie tego samego domagał się o wiele wcześniej od Nietzschego sceptyk francuski, Renan (Dramaty filozoficzne: „Prospero").

Żali więc — powtarzamy zapytanie — Nietzsche był filozofem? Ten długi wywód logiczny zdaje się przekonywać, że nie. A jednak mimo wszystkiego, mimo wszystkich wskazań uczoności profesorskiej, mimo całej metodologii naukowej, był N. filozofem. Tylko nie z dzisiejszych, jeno z wcześniejszych pochodził zastępów. To dawno już czasy, kiedy filozofowi wolno było filozofować o wszystkiem i o niczem, o Bogu i naturze, człowieku i historyi; każdy przedmiot, każdy wypadek mógł stanowić założenie, „z powodu którego" myśl filozofa układała takie lub inne łańcuchy ogniw logicznych. To były czasy odległe, kiedy nie było jeszcze „podziału pracy" w filozofii, nie było laboratoryów, nie istniały śpichlerze cytat. Prąd rozwojowy przerywa się ciągle, fala powrotna wyłania z siebie odmienne w porównaniu z obowiązującymi w danej chwili wzorami; tacy „filozofowie" rodząc się śród zróżniczkowanej, mechanistycznej pracy laboratoryjnej, fabrycznej, mogą wielkie znaczenie posiadać, rolę rezerwoarów świeżego powietrza odegrać.

Jeżeli tedy zaliczyć N. do tej drugiej galeryi myślicieli się poważymy, to dodajmy zaraz i drugi tytuł: był poetą. Tym drugim przedewszystkiem, poetą lirykiem. Sam pisał w znanych listach do Brandesa: „My, filozofowie, za nic nie jesteśmy wdzięczniejsi, jak za to, że nas mają za artystów." Jeżeli z tego punktu widzenia oceniać N., twórczość jego wyda nam się o wiele więcej zrozumiałą. Większą część sprzeczności, z których utkana jest jego kanwa filozoficzna, a których nie wolno przebaczyć „filozofowi" — liryzm rozgrzeszy. Liryzm również objaśni żywy pojazd, na którego tle rozmyśla Zarathustra, objaśni takie np. obrazy: „Noc; o tej porze mówią głośniej wszystkie fontanny. I moja dusza jezt fontanną. Noc... teraz budzą się wszystkie pieśni kochanków. I moja dusza jest pieśnią kochanka..." Liryzm objaśni w dużej części tajemnicę jego wpływu.

O tym należy również kilka słów powiedzieć. Można zrozumieć albo i nie rozumieć dzieł Nietzschego, nie wiedząc nic o czasie i miejscu, gdzie powstały, ale jeśli chcemy wpływ ten zrozumieć, musimy *in Dichters Lande gehen.* Życie dzisiejsze wogóle niweluje, a państwo niemieckie wojskowo-biurokratyczne więcej niż inne. Im zaś państwo staje się silniejszem i potężniejszem na zewnątrz, tem działalność jego pod hasłem strychulca jest żywszą i w skutkach swych płodną. To właśnie miało miejsce w Niemczech po zwycięztwach 1870 r., po obwołaniu cesarstwa, pod rządem demagogicznej działalności Bismarcka. Z drugiej zaś strony pierwiastki takiej niwelującej działalności tkwiły i w życiu społecznem i rozwinęły się z niesłychaną siłą. Miasta zaczynają wzrastać szalenie, ludzie w pewnych punktach gromadzić się w sposób niezwykły, magiczny poprostu, a gromadząc — upodabniać; łatwość komunikacyi zaciera wszelkie różnice wsi, miasta, okolicy; różnice etnograficzne i dyalektyczne; następuje nietylkoześrodkowanie kapitału i środków produkcyi, ale iześrodkowanie życia politycznego; tworzą się wielkie partye, zasłaniające bardzo ogólnikowym poglądem na świat wszelkie różnice i odcienie myśli politycznej. Ogólny mianownik staje się drogowskazem. I oto w takiej chwili, wśród zaniku „oryginałów," wśród powszechnego braku indywidualności, pod panowaniem fabryki i filistrów — uderza ktoś w wielki dzwon tych wszystkich czynników, których w życiu bieżącem brakuje. Żywszy temperament, jednostka każda o bardziej czułem życiu emocyonalnem—słyszą w sobie echo *tych* pożądań i *tych* wskazań. I oto urodził się pierwszy nietzscheanista.

Tylko, że wpływ ten musiał być krótkotrwały. Negacyą ludzie nie żyją. Wykrzyknik nie może być dogmatem postępowania. I dlatego znowu tak prędko zaczyna się odwrót z pod sztandaru, odwrót w najlepszych wypadkach zupełnie ku szlakom wprost przeciwległym.

Znamy tylko jeden wypadek, gdzie „nietzscheanista" pozostał wiernym mistrzowi i sobie, aczkolwiek nie był ani histerykiem, ani zainteresowanym wydawcą dzieł Nietzschego, ani frazeologiem, który nakłada na siebie pióropusz nietzscheanizmu, zakrywając w ten sposób próżnię swojego umysłu, filisterstwo swojego serca... Jest to bardzo poważny historyk niemiecki, profesor uniwersytetu, człowiek bardzo zdolny. Nazywa się Kurt Breysig. Otwarcie przyznał się i przyznaje do swojego poglądu na świat, do arystokratyzmu radykalnego; pisał o tem bardzo pięknie i z dużą swadą oratorską. Przemówił, jako jedyny przedstawiciel nauki niemieckiej, nad grobem Nietzschego. Rzecz atoli szczególna! Ten „nietzscheanizm" żadnego wpływu na działalność, pracę naukową Breysiga nie wywarł. Ogłasza swoje niezmiernie ciężkie i obszerne prace archiwalne, jak dawniej, wykłady prowadzi bez zmiany. Ten nietzscheanizm jest czystą „religią," surogatem wszelkiej innej, tak słabą, że pozwala na spokojny w zwykłem życiu umysłowem objektywizm historyczny. Co więcej! Breysig jest poplecznikiem Lamprechta, jako taki podkreśla zawsze czynnik poruszeń masowych w historyi, wcale a wcale nie ma nabożeństwa dla dziejopisarstwa indywidualistycznego. Cóż na to powie jego własny „nietzscheanizm"? Przypomina-

---

Płakała trochę, z śmiechem na połowę,
Siedząc na wielkim, w mchu schowanym głazie —
I układała w myślach tę rozmowę,
W której da jutro folgę swej obrazie...
Aż rozstrzygnęła, że w tak ciężkim razie
Tylko milczenie jest dosyć surowe.

Słuchała ptaszków — rwała leśne trawki,
By się rozerwać trochę — dla zabawki,
Aż gdy się słońce schowało w drzew cieniu,
Umywszy ręce i oczy w strumieniu,
Co z ogrodowej sączył się sadzawki,
Poszła — skradając się przy ogrodzeniu
I przeskoczyła mur z pomocą ławki.

Lecz ledwie wpadła zdyszana na górę,
Widzi swej „panny" oblicze ponure
I dowiaduje się, jaki okropny
Wydał rezultat krok jej nieroztropny!
„Pewna osoba" „on" od tej ucieczki
Wpadł w szał prawdziwy, wszczął z wszystkiemi [sprzeczki,

Spędził dzień cały w lasach, jak gajowy,
A kto wie, co już przyszło mu do głowy?
Czy go już „czarna słabość" nie napadła?
„Panna," to mówiąc, uczuła, że zbladła
I wyciągnęła szyję do zwierciadła —
Zamknął się zewsząd w pokoju na klucze,
Głuchy na wszystkie przez drzwi namowy,
Nie odpowiada, nie dotyka jadła,
Włosy rwie pono, głową o mur tłucze...
Zresztą widziano przez dziurkę rolety,
Jak kładł nabite na stół pistolety.

Dech zamarł w piersi!... na dół wichrem zleci,
W ręku snop zielska, jak wróciła z lasu —
Księżyc tak samo świecił, jak dziś świeci! —
Pod osłonięciem cieniowego pasu,
Który na żwiry padał od szpaleru,
Po pod oknami przemknęła się chyłkiem
Tam, gdzie świeciło się w oknie z parteru...

Po gładkim murze wspiąwszy się z wysiłkiem,
W otwartem oknie nic nie widząc prawie
Prócz wierzchu głowy w schylonej postawie...
W ten punkt, przez okno rzuca kwiecia wiązkę!...
Celnie! trafiła w czoło mchu gałązką...
Runęło krzesło!... z okna jednym skokiem

Jest na dziedzińcu. . chód słychać po trawie...
Ktoby go wówczas widział był, jak z dali
Biegł ku niej, iskry siejąc czarnem okiem —
Myślałby, że to huragan płomieni
Lecący na mą... porwie ją i spali!
Tak od jaskrawych błyskawic i cieni
Twarz jego chuda i smagła się mieni...
Że bryźnie zaraz ognistym potokiem
Wyznań, któremi wargi dygotały!...

A on stał przed nią w milczeniu głębokiem!
Uspokojony nagle i zbielały —
Ogień do wnętrza mu wpadł, wolą wbity!...
Gwałtowny opadł gest... stał w miejscu wryty —

Lecz jak po długiej rozłące anieli,
Tak się do siebie słodko uśmiechnęli
I tak też oczy do oczów przywarły...

Stali... o ścianę wsparłszy się plecyma,
A wszystkie władze życia w nich zamarły...
Bo dusze wyszły do siebie oczyma!...

Wyszły im z oczów spojrzenia promykiem
I na powietrznej spotkawszy się fali,
Opowinęły się w kształcie spirali
I jednym światła spłonęły wężykiem.

Długo muskały się blasku skrzydełkiem
I całowały się żądło z żądełkiem!

(C. d. n.)

najzupełniej pewnego znanego estetyka naszego, który jest zarazem w wolnych chwilach „medyumistą.“ Tylko że ten „eusapizm“ pozwala mu uprawiać wcale rozumną krytykę literacką, w miarę przedmiotową, w miarę podmiotową; pozwala zabierać głos w sprawach społecznych; pozwala być człowiekiem najzupełniej normalnym, zrównoważonym. Zaprawdę, jakiż nieprzebrane mrowisko sprzeczności zaludnia duszę ludzką!

* * *

Nie należeliśmy nigdy do orszaku Nietzschego. Nasze miejsce nie było śród dyonizyuszowych korybantów. Myśmy nie bili nigdy w bakchusowe tympany. Ognisko naszych uczuć i myśli było gdzieindziej, może kędyś u przeciwległego bieguna tej osi, wokoło której poruszają się wszystkie nasze, człowiecze, zabiegi, pomysły, pokusy. Myśmy szli nie ku „najwyższym egzemplarzom“ (jak mówi N.), ale raczej, gnani siłą odśrodkową *od* siebie ku społeczeństwu, ku rzeszom dziś bezimiennym i, jak chce Zarathustra, „zbytecznym.“

* * *

Mimo zaś wszystkich różnic w poglądzie na świat i człowieka idziemy dziś za jego pogrzebem. Rozpamiętujemy jego wzloty, jego ukochania, jego cierpienia. Jeżeli „umiłowania“ nasze były różne i zasadniczo nas dzieliły, to jedna nas cierpienie. Żegnamy go współczucia pełni i żalu. Nie zawodzimy, nie rozdzieramy szat, ale mówimy niecodziennie poważni: śpij w spokoju biedny duchu człowieczy!

S. P.

Z NIEMIEC.

Berlin, 1 września.

Dwie nominacye uniwersyteckie budzą zainteresowanie w kołach inteligencyi tutejszej: prywatny docent Simel został zamianowany profesorem, a niemiecki Renan, prof. A. Harnack, otrzymał berło rektorskie.

Że „stara panna“ akademicka — jak opiewa odnośny termin — czekająca swej kolei, została nareszcie przyjętą do cechu profesorskiego, fakt ten z pewnością ani zwolni, ani przyspieszy obrotów koła dziejowego. Można być taką perłą w koronie ludzkości, jak Giordano Bruno lub Spinoza, a nie być bakałarzem z łaski ministeryalnej. Awans Simmla oznacza wszakże ukorzenie się kasty przed niezależną samorodną osobistością, unikającą gościńca naukowego. Simmel, łącząc w swej osobie prawdziwą uczoność z polotem marzycielskim i subtelnym zmysłem psychologicznym, był solą w oku tutejszym rzemieślnikom naukowym. Już audytoryum jego odbijało jaskrawo na tle uczelni uniwersyteckiej. Nadaremnie szukałbyś tu pokiereszowanych twarzy burszów lub bezmyślnie kwitnących i zadowolonych młodych artystów i literatów, ubogich studentów, spragnionych wzniosłych myśli i potężnych wrażeń oraz cudzoziemców, którzy przybyli do Niemiec, aby odetchnąć „górską“ atmosferą teoryi i dążeń. Obok niedomytego biednego radykała z Mińska zasiada angielka z bryljantowym pierścieniem na palcu; Francuzowi z fantastyczną czupryną dotrzymuje towarzystwa malutka, chuda, blada studentka w sukni „reformowanej.“ A wszystkich tych ludzi tak rozmaitego pochodzenia, o odmiennym poglądzie na świat i aspiracyach potrafi Simmel wciągnąć w wir własnych myśli, oryginalnych spostrzeżeń i olśniewających swą głębią i trafnością uwag. Lektor nie szasta dogmatami i poglądami gotowymi, lecz uczy myśleć i szukać prawdy, a to właśnie przysporzyło mu niechętnych w sferach wyroczni naukowych. Jakże można opowiadać studentom, iż „obecnie o system w nauce trudno,“ iż „zagadnienia praktyczne nie dadzą się wcale zasadniczo rozwiązać.“ Czyż należy święte postulaty etyczne poddawać analizie psychologicznej? Jest to rzecz niesłychana, aby mąż nauki przyznał się publicznie, iż „powieści Guy de Maupassanta i Anatola France'a stawia wyżej od wszystkich traktatów psychologicznych razem wziętych.“ Tylko bluźnierca może w wykładzie o Schopenhauerze wobec setek słuchaczy oświadczyć, iż życie nasze faktycznie roi się od brudów, sprzeczności i krzywd, wołających o pomstę do nieba. A sam sposób wykładu Simmla! Są to raczej spacery po ogrodzie myśli, gdzie nasz „perypatetyk“ i uczniowie zrywają i wiążą rzucające się w oczy i pociągające swym zapachem kwiaty, zamiast je zbierać i układać w pedantyczne herbarium. Simmel rzuca w lot szereg myśli o tem lub owem nigdy nie dając większej całości, a przytem osnuwa je na spostrzeżeniach czerpanych z życia powszedniego. W ten sposób — lamentowały powagi — zawraca się głowę młodzieńcom i odrywa się ich od tradycyi naukowej. Dalej: w kwestyach drażliwych, budzących zainteresowanie powszechne, nigdy nie raczył on oświadczyć się wyraźnie za lub przeciw jakiemuś obozowi, natomiast wszelkie kierunki polityczne traktuje jako równoprawne i jednakowo godne uwagi naukowej. Nauka powinna być jasną jak na dłoni i przedstawiać linię idealnie prostą, usianą drogowskazami w postaci paragrafów i tytułów. Mąż uczony musi obowiązkowo dla dobra swej karyery unikać zygzaków i reprezentować jedną z ustalonych rubryk: luzak w nauce jak i wszędzie jest przedmiotem nienawiści. Nie lepiej przedstawia się Simmel w swych pracach drukowanych: wprawdzie zastosował on zarówno do socyologii, jak etyki nader szczęśliwie metodę psychologiczną, a w historyozofii wytknął, wślad za Kantem, wpływ czynnika osobistego, ale nie napisał ani jednej skończonej, zaokrąglonej pracy. Jego dwutomowy „Wstęp do etyki“ jest właściwie zbiorem luźnych szkiców, naccechowanych bólem myśli, duchem krytyki i wątpienia. Spragnione uczoności oko nie znajduje literalnie ani jednej cytaty, ani tytułu książki, ani nazwiska autora. Simmel przypomina słowika, który wydobywa z piersi swe pieśni bez nut i szkoły muzycznej. Wogóle — czego mu nie można wybaczyć — pisze on tylko wtedy, kiedy ma do powiedzenia coś nowego, oryginalnego. Zamiast kompilować i streszczać, częstuje on nas wyłącznie pracą własnej myśli. A jego poglądy nie zawsze przeszłyby przez rogatki prawomyślności. Mojem zdaniem, nawet powierzchowność Simmla trąci protestem. Podobnie jak paw roztacza swój wspaniały ogon, „honorable gentleman“ angielski w największy upał nie rozstaje się z cylindrem, a szanujący się Chińczyk podczas najbajeczniejszej posuchy paraduje z parasolem pod ręką, tak kapłan urzędowej nauki powinien nosić akademicki kapelusz o szerokich skrzydłach: Simmel profanuje i kompromituje stan swym szarym melonikiem!

Adolf Harnack, słynny teolog, należy obecnie do najpopularniejszych profesorów tutejszych. Przedewszystkiem zyskała mu rozgłos jego walka z pruską radą konsystorską, która przed dziewięciu laty uderzyła na alarm z powodu powołania Harnacka na katedrę historyi kościoła. Nie znaczy to, aby Harnack był zerem naukowem. Przeciwnie, należy on do najzdolniejszych uczonych tutejszych. Obok 3-tomowej historyi dogmatów i 3-tomowego krytycznego wydania prac ojców kościoła, redaguje on „Teologiczną gazetę literacką“ oraz „Badania nad historyą starego kościoła.“ Odkrył on nadto i ogłosił t. zw. kodeks purpurowy rękopisów Ewangelii. Słowem, jest on w swej specyalności prawdziwym świecznikiem nauki. Ale Harnack ma tę wadę nie do przebaczenia, iż ośmiela się mieć własny pogląd na rzeczy, kościół protestancki zaś nie posiada władzy karania. Wskutek tego Harnack puszczał w świat wszystko, co mu dyktowały jego przekonania, nie krępując się bynajmniej tem, iż obala rezultaty zdobyte przez czcigodnych poprzedników. Kościół protestancki też po jednokrotnem przejściu Rubikonu wolnej krytyki ma dwie drogi przed sobą: albo szczepić ideę miłości Chrystusowej na kamienistej glebie walk i egoizmu ludzkiego, albo też w teoryi iść ręka w rękę z krytyką naukową, nie troszcząc się o to, dokąd to zaprowadzi. Pastorowie Nauman i Gohre obrali pierwszą drogę; Harnack, jak przystało na uczonego, poszedł drugą i... poszedł za daleko. To też pruska rada konsystorska, dbała o zbawienie duszy błędnej owieczki, chciała wskazać mu metę. Król pruski zadecydował inaczej, a Harnacka zamianowano profesorem. Studenci, nasłuchawszy się tyle złego o przewrotnym heretyku, zwrócili się wówczas do niego z prośbą o wyłuszczenie swego stanowiska w kwestyi Składu Apostolskiego. Harnack bez żadnych „ale“ z katedry i w oddzielnej broszurze otwarcie odsłonił swe oblicze dogmatyczne. Odpowiedź brzmiała tak pięknie, tchnęła takim entuzyazmem; tak niekłamanie zdradzała szczere przeświadczenie, iż Harnack odrazu pociągnął na swą stronę słuchaczy. Gdy ubiegłej zimy ogłosił wykład o istocie chrześciaństwa, publiczność napłynęła setkami. Wykłady te wyszły obecnie w większem dziele („Das Wesen des Christenthums“). Autor zaś w nagrodę został obwołany rektorem.

Nie potrafiłbym orzec, o ile mają racyę ci, co uważają pracę Harnacka „O istocie chrześciaństwa“ za epokową. W każdym razie od czasów Straussa i Ritschla żadna praca nie narobiła jeszcze tyle hałasu w Niemczech. Główna teza Harnacka polega na tem, iż nie sposób wydać ostatecznego sądu o istocie chrześciaństwa, albowiem, jak wszystko na świecie, nie powstało ono odrazu, lecz przeszło długą drogę rozwoju. Apologetyka i filozofia religii są w danym razie zupełnie nie na miejscu, o ile nie polegają na przelewaniu z pustego w próżne. Jedynie metoda rozwojowo-historyczna może rzucić światło na kwestyę sporną, co mianowicie stanowi rdzeń chrześciaństwa. Zdaniem Harnacka, to ostatnie uległo licznym przemianom i w każdej fazie rozwojowej reprezentowało odmienne dążenia. Z natury rzeczy autor przedewszystkiem przystępuje do badań nad osobą Chrystusa i uczniów jego i dopiero później stara się zbadać, jak to chrześciaństwo pierwotne przystosowało się do warunków miejsca i czasu. W pierwszym celu posługuje się on, jako źródłami, wyłącznie tylko pierwszemi trzema ewangeliami.

W sposób szczegółowy Harnack rozważa stosunek Nowego Testamentu do świata i ludzi, do takich kwestyj, jak ascetyzm, ubóstwo i kwestya społeczna, prawo i porządek państwowy, praca i zadania kultury i wreszcie wyznanie wiary. Tu stacza on polemikę z Schopenhauerem i Tołstojem, oraz omawia swój stosunek do socyalizmu chrześciańskiego. W drugiej części swego dzieła autor szkicuje późniejsze losy prachrześciaństwa i ewangelii aż do rozłamu pomiędzy protestantyzmem a katolicyzmem. Słowem, mamy tu do czynienia z pracą historyczną głęboko, dobitnie i indywidualnie pomyślaną.

H. F.

SZKODLIWE AMATORSTWO.

Każda myśl nowa, o ile w krótkim czasie ma zyskać popularność i wejść w życie ogółu, powinna posiadać odpowiednie ku temu warunki.

Przedewszystkiem musi być łatwo zrozumiałą dla szerokich mas, nie przedstawiać wielkich trudności przy wprowadzaniu jej w życie i czynić zadość pewnym, szeroko odczuwanym potrzebom. W historyi medycyny, jak i w innych dziedzinach życia, bardzo często spotykamy zjawisko, że myśl prawdziwie głęboka, oparta na zrozumieniu zasadniczych praw natury, przez długi czas liczy wyznawców w ciasnem gronie fachowców; szeroki ogół myśli tej nie rozumie i życia swego jej nie podporządkowuje. O takim prawdziwym dobroczyńcy ludzkości, jak Lister lud nasz nie wie wcale — stosowanie aseptyki w lecznictwie, choćby w postaci najelementarniejszych zasad czystości, nie zyskało wśród niego zwolenników. Szczepienie ospy większość tak traktuje, jak płacenie podatków: urząd nakazał, więc słuchać trzeba. O ileż większą ufność i uznanie budzą bezkrytycznie stosowane, a według reklam skuteczne na wszelkie choroby rozmaite pigułki, „expelery" i — metoda księdza Kneippa.

O tej metodzie, a zwłaszcza o jej amatorskiem stosowaniu na prowincyi chcę tu słów kilka powiedzieć.

Metoda ta jest jednym z przejawów rozpowszechnionego zwłaszcza w Niemczech, tak zwanego — lecznictwa naturalnego, które w ostatnich czasach wobec propagowanej przez pewne obozy myśli o bankructwie wiedzy tem głośniej dmie w trąby reklamy i jeszcze śmielej głowę podnosi. Większa część owych t. zw. *Naturarzt*'ów niemieckich rekrutuje się z pomiędzy ludzi do żadnej rzetelnej pracy nie uzdolnionych, a mających dostateczny zapas sprytu, aby mydleniem oczu zdobyć sobie byt wygodny i spokojny.

U nas takich specyalistów działa stosunkowo niewielu; znam jednak w świętokrzyzkiem zamożnego niegdyś włościanina, który, roztrwoniwszy znaczną część swego majątku, zaczął marzyć o sławie cudownego lekarza i o związanych z tą cudownością dochodach; zapożyczył się i pojechał do Wörishoffen zaczerpnąć wiedzy u źródła. Po powrocie urządził coś w rodzaju zakładu wodoleczniczego, lecz dawny towarzysz karczemnych pijatyk nie zdobył zaufania u ludu.

Zamiast specyalistów leczenie metodą Kneippa uprawiają u nas osoby ze ściśle określonymi obowiązkami, często bardzo a bardzo poważnymi, ludzie zajmujący stanowiska już z samej natury rzeczy obowiązujące do oświecania maluczkich.

Nie mówię tu naturalnie o przysługach sąsiedzkich w formie jedynie skutecznej recepty na jakąś dolegliwość: jest to zabawa *) względnie niewinna, najczęściej wypływająca z rzetelnej, chociaż naiwnej życzliwości. Trudno — od czasów Stańczyka wszak ilość lekarzy nie zmniejszyła się. Chodzi mi o tych, którzy leczenie to uprawiają na wielką skalę i w ten sposób bałamucą już i tak przez felczerów i owczarzy systematycznie ogłupiane chłopstwo. Czyż powinni tak postępować ludzie, mający wysokie pojęcie o swem stanowisku i z racyi tego stanowiska wymagający od społeczeństwa szacunku, a nawet nietykalności?

Gdybyż przynajmniej jedyną pobudką do uprawiania tego sportu była czysta bezinteresowna chęć niesienia pomocy bliźnim. Niestety, nie zawsze tak bywa: miłość miłością, a wydatek na dzieła mistrza amortyzuje się bardzo szybko, już to groszem cierpiących, już to łatwo kapitalizującymi się produktami gospodarczymi. A zresztą nawet nie ulegająca kwestyi dobra wola tych amatorów, jeszcze nie uniewinniała by ich ze stanowiska społecznego, zwłaszcza w okolicach, gdzie pomoc lekarska jest wystarczającą.

*) Czy raczej nie — obowiązek? *Red.*

Przeczytanie z bezkrytyczną wiarą czterech czy pięciu tomów popularnych dzieł Kneippa, daje jedynie imponującą pewność siebie, lecz czyż opinia publiczna może pozwolić, aby takie przygotowanie pozwalało igrać ze zdrowiem i życiem ludzkiem? Wszak nawet Kneipp w kwestyi rozpoznania choroby posługiwał się zdaniem lekarzy fachowych; naszym amatorom żadne wskazówki nie są potrzebne— oni przeszli swego mistrza. Ileż razy do takiego cudownego uzdrowiciela z odległej okolicy przyjeżdża chory, któremu potrzeba rzetelnej i na dokładnem zbadaniu opartej rady lub szybko i umiejętnie dokonanej operacyi, i zamiast tego usłyszy na chybił trafił wybrany wyjątek z „Mojego leczenia wodą". W rezultacie odległej i męczącej przejażdżki otrzymuje stratę czasu, pieniędzy, a przedewszystkiem traci najodpowiedniejszą nieraz chwilę dla właściwej kuracyi.

Na obronę tych amatorów mógłby ktoś powiedzieć, że przynajmniej kuracya przez nich stosowana nie jest szkodliwą; niezawsze jednak tak bywa: obserwowałem już wypadki, gdzie energiczne a niewłaściwe stosowanie różnych *ober* i *untergussów* przyniosły choremu dużą krzywdę. A przytem „niewinne" napary z bratków polnych lub okłady z żywokostu są bardzo „winnemi" wówczas, gdy choroba wymaga istotnego, właściwego leczenia.

Tyle mówi się u nas i pisze o potrzebie racyonalnej pomocy lekarskiej na wsi, więc czas już zapewne, aby inteligencya prowincyonalna, w zasadzie jakoby uznająca tę potrzebę, przestała bawić się „w owczarzy" i nie utrudniała lekarzom i tak już ciężkiej pracy.

Cóż ma lekarz powiedzieć swemu pacyentowi, zwłaszcza włościaninowi, gdy ten wyznaje mu, że na swoją chorobę leczy się już dawno, i gdy między owczarzami, felczerami, babami od zamawiań, do których udawał się o poradę, wymieni człowieka, którego stanowiska nie należałoby obniżać w jego oczach.

Już minęły czasy, gdy dotknięcie ręki króla Francyi, leczyło od skrofuł—z faktami liczyć się należy; dzisiaj jedynie zły człowiek i szarlatan może podawać się za lekarza bez należytego ku temu przygotowania.

A więc, panowie, jeżeli już nie umiecie w bardziej godziwy sposób zużytkować wolnego czasu, to już lepiej ogrywajcie w karty równych sobie, lecz nie bawcie się kosztem zdrowia, czasu i pieniędzy tych, którzy uważają was za wyższych od siebie.

Dr. F. Drozdowicz.



PAMIĘTNIK.

„Nowocześni bohaterowie."

Prowincya nasza nie wyszła jeszcze z epoki mitologicznego „bohaterskiego" bytowania. Jej życie — jest jeszcze często, prawie zawsze życiem jednostek. Zbiorowych usiłowań prawie śladu niema. Zapoczątkowane — nie mogą przełamać pierwszych lodów; pozornie zespolone za lada podmuchem niesforności obalają się. Jak w antycznym świecie bywały epoki, kiedy cały wielki świat szarych życiowych stosunków, pracy, szczęścia i nędzy ogniskował się i krystalizował w Herkulesie albo Odyseuszu, tak i w odmęcie naszego życia prowincyonalnego jego historya jest często, niestety bardzo często życiem jej wybitnych przedstawicieli. Są w każdem mieście gubernialnem i powiatowem „nazwiska," „które widzimy wszędzie; ludzie, co wszystko robią i wszystkiem się zajmują; wszystko zapoczątkowują, a niekiedy i doprowadzają do końca; budzą Muzy, szerzą oświatę, tworzą przemysł; są gospodarzami wiernie a szczerze pełniącymi obowiązki amfitryonów przy publicznej biesiadzie, kiedy chodzi o to, aby miasto nie prezentowało tylko swoich nieporządków uświęconych tradycyą w przeszłości, a niechlujstwem i złą wolą w teraźniejszości. Takich bohaterów ma Łomża i Siedlce, Międzyrzec i Płońsk. Wszyscy ich znają; ogół, szukający w „korespondencyach własnych" wiadomości prowincyonalnych spotyka ciągle ich nazwiska, przez długi szereg lat te same, zasłużone, czcigodne nazwiska pionierów lepszej kultury, „Robinsonów" często gęsto nawet pozbawionych — Piętaszków. Czy to chodzi o kredyt tani, czy o towarzystwo muzyczne, o czytelnię, czy o towarzystwo rolnicze — zawsze występują ci sami obywatele, niezmordowani, acz niezawsze kompetentni, często nieprzygotowani, ale niezłomni apostołowie „dobrej nowiny," siewcy przyszłości, zapoznani męczennicy, gnani entuzyazmem poprzez ciernistekrzaki ciemnoty, zawiści, złej woli i głupoty ludzkiej. I dlatego też być może „korespondencye prowincyonalne" są tak bezbarwne i monotonne, bo są biograficznymi przyczynkami — a często niczem więcej.

Uwagi te nasunęły nam się, kiedyśmy przeczytali w dziennikach list mecenasa Parczewskiego, który przedsięwziął opracowanie monografii o św. Wojciechu i jego wędrówkach misyjnych i prosi, aby mu nadsyłać do Kalisza wszelkie przyczynki do tej męczeńskiej odysei. Takich legend, krążących śród ludu, powinno być wiele; część ich została już pewnie spisana, ale większa bezsprzecznie część wędruje z okolicy w okolicę w mieniącym się od różnic, dodatków, fantastycznych upiększeń — wątku. Dlaczego byśmy nie mieli poprzeć tej myśli, poczętej z dobrej woli i pracowitego umysłu? Może tylko zawstydził mecenas Parczewski *Wisłę*, która nie skorzystała z okazyi jubileuszowej i nie otworzyła swoich szpalt dla nowej seryi „poszukiwań." Tem większa jego zasługa, że w wirze różnorakich obowiązków społecznych — znajduje jeszcze czas na ubieganie specyalistów i specyalnych organów naszej umysłowości, gdy chodzi o sprawę „ducha," a nie „Mammona."

Telefony.

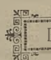
Dnia 14 listopada 1901, a więc za kilkanaście miesięcy sieć telefoniczna obecnie eksploatowana przez Towarzystwo Bella przejdzie na własność skarbu i będzie oddawana przedsiębiorcom prywatnym. Oczywiście, że tych wiązać będzie specyalna koncesya. Życzyć należy, ażeby miasto poczyniło zawczasu starania, mające na celu zabezpieczenie korzyści jego mieszkańców tak pod względem opłat za używanie aparatów telefonicznych, jak też pod względem ich obsługi. O tem, jak wywiązywało się dotychczas z zobowiązań swoich Tow. Bella, wiemy doskonale: cena zupełnie niemożliwa, zamykająca używalność tego ogólnie-społecznego środka komunikacyi w granicach wyłączności, kastowości majątkowej; obsługa fatalna, brutalna, odbijająca się w prasie codziennej tysiącem skarg, nadchodzących ze sfer czytelniczych, znajdująca swój wyraz w awanturach, załatwianych na drodze „te-

lefonicznej" pomiędzy interesantami a personelem urzędniczym szczerze a niezłomnie przysięgającym na dogmat naczelny naszego biurokratyzmu rodzimego: „praca nie zając, nie ucieknie." Słyszeliśmy, że podobno zarząd miasta ma powiększyć szereg współzawodników. Jeżeli to prawda, w takim razie powinien dziś już poczynić starania, aby zasadnicza cena abonamentu oznaczona dla Warszawy na 100 rb. za aparat do użytku zbiorowego, przy 10—20% zniżki za aparaty w mieszkaniach prywatnych — uległa stanowczej, wielkiej redukcyi. Wobec rozwoju miasta, rozkwitu przemysłu i handlu należy się spodziewać, że przy przyzwoitej cenie, każdy sklep poważniejszy, każdy warsztat rzemieślniczy zaopatrzy się w aparat: wtedy obniżka opłaci się sowicie. Tak też jest na całym Zachodzie. Ale po co szukać przykładów w Belgii albo Szwajcaryi. W Finlandyi sieć telefoniczna, niby gęsta siatka pajęcza opasuje Helsyngfors. Każda cukiernia, każdy sklep niemal, szewc, krawiec korzysta z usług telefonu, albowiem cena jego wynosi 15—20 rubli rocznie.

Kurtyna Siemiradzkiego.

Malarstwo dekoracyjne, powoływane do ozdoby świątyń sztuki, lub gmachów użyteczności publicznej, z natury rzeczy częściej, niż jakikolwiek inny rodzaj jego, posiłkować się musi symbolem. Ma ono zwykle za zadanie nietylko przyozdobić mury budynku, lecz jednocześnie nauczyć widza, dla jakiego celu zostały one wzniesione. Dziwna rzecz: w sztuce wszystko podlega ewolucyi, wszystko się zmienia — nietylko treść, lecz nawet forma i środki techniczne, najuparciej tylko swój kształt pierwotny zachowuje symbol. Zdawać by się mogło, że pojęcia i myśli zasadnicze, wyrobione w przodkach naszych przed wiekami, nie uległy żadnej zmianie — tak uparcie trzymają się w sztuce ich wyobrażenia — symbole. Czy siedzącą na krawędzi studni (jak u Baudry'ego) czy sztywnie wyprostowaną (jak u Lefebvre'a), artyści zawsze przedstawiają nam prawdę w postaci nagiej kobiety z zwierciadłem w ręku. A czyż my dotąd wiemy o prawdzie tylko to, że ona jest „naga?" Wiemy przecież, że ona może być rozkoszną i okropną, szczytem bólu i szczytem szczęścia... A symbol pozostaje niezmieniony.

U nas bodaj najtwardziej trzyma się starych formułek Siemiradzki. Wszystkie odłamy sztuki teatralnej wyobraża on w odwiecznej postaci mniej lub więcej rozebranych kobiet, mężczyzn i dzieci, poukładanych w grupy, których nie łączy w jedną całość ani żadna myśl przewodnia, ani logika. Bo proszę tylko sobie wyobrazić. W środku pod frontonem świątyni sztuki, na którym wyobrażony jest Apollo w rydwanie, ciągnionym przez Hory, na trójnogu siedzi w negliżu niemłoda, nieładna kobieta, owiewana przez odurzające (zapewne) dymy, wydobywające się z dołu. Nad nią napis „Intuitio," tj. natchnienie. Znacznie młodsza i znacznie więcej rozebrana niewiasta o zielonych skrzydłach trąca ją w prawe ramię; u góry napis „Phantasia." Z lewej zaś symbol Minerwy z wagami w rękach czyni ręką gest uspokajający (u góry napis „Sapientia"). Jak więc widzimy, biedne natchnienie znajduje się w dość tragicznem położeniu pomiędzy fantazyą a rozsądkiem. Ale ten tragizm nie wzrusza bynajmniej baletu, który (a właściwie która) tuż obok z tamburinem w rękach, z rozwiewającą się suknią, targaną przez nagie pacholęta, najweselej w świecie tańczy kankana, nie wzrusza również głupio uśmiechającej się do widza i „pozującej" komedyi. Nie wiadomo, jak to wszystko przyjmuje śpiew, muzyka i poezya (które razem mają tworzyć operę), bo te najzupełniej skamieniały w swej pozie i osłupieniu. Natomiast z przeciwległej strony obrazu — zamieszanie najzupełniejsze. Poważna historya z księgą rozwartą na karcie: „sic fuit — est et erit" (tak było, jest i będzie) wskazuje czarno, choć niezupełnie ubranej niewieście (pownie tragedyi) kilku nagich lub prawie nagich mężczyzn różnego wieku, pędzących, bijących się i przewracających, a nad nimi w powietrzu za ciężkich trochę, jeśli rzeczywiście mają bujać w przestworzach, Amora, kobietę z wiankiem laurowym w ręce, i panienkę na bańce mydlanej, sypiącą z rogu obfitości pieniądze. Prawda, u dołu jeszcze pozuje, pół leżąc, bardzo brzydka pani, a obok niej stoi coś w rodzaju modelu teatru z greckim, czy łacińskim napisem. Tło — ładny w kolorze pejzaż włoski. Oto wszystko, co artyście dla jego dzieła dała taka bogata kopalnia tematów, jaką jest teatr. Lecz ogólna harmonia linij i barw jest rzeczywiście ładna, a stopnie kamienne są wspaniale zimne i przedziwnie żywe, więc kurtyna Siemiradzkiego zapewne długo będzie mile łechtała na pięć minut przed przedstawieniem wzrok publiczności teatralnej. *Mich. Mut.*



BADANIA NAUKOWE.

ENERGETYKA I METAFIZYKA.

Większość nie może jej zgłębiać;
bierze więc powodzenie za uzasadnienie.
E. Mach.

Ostatni zeszyt *Przeglądu filozoficznego* przyniósł czytelnikom swoim aż trzy artykuły na temat energetyki: prof. H. Struvego „Materya, duch i energia, jako czynniki bytu przedmiotowego" (str. 1—41), p. Wł. M. Kozłowskiego „Świadomość i energia" (42—56) i dr. J. Kodisowej „Problemat energetyki." (57—79) Zestawienie to ciekawem jest z tego względu, że artykuły pp. Kozłowskiego i Kodisowej, przystępnie informujące o tem, jakie mniej więcej poglądy na energię i zasadę jej zachowania są w obiegu w fizyce spółczesnej, tak dalece przeciwstawiają się treści pomysłów p. Struvego, iż — rzec można — są pośrednim zaprzeczeniem i korektywą każdego niemal zdania. Bądź co bądź, sąsiedztwo obustronnie drażliwe.

Wiem dobrze, że w artykule przeznaczonym do *Prawdy* niepodobna wyłożyć teoryi energii, która w obecnym stanie swoim niezupełnie nawet nadaje się do popularyzacyi; ale też bynajmniej nie kuszę się o to. Sądzę wszakże, że można i należy objaśnić chociażby tyle, że energetyka nie jest wielbłądem, na którym dałaby się przebyć pustynia, dzieląca metafizykę od włości nauki. Z tych właśnie pobudek chcę rozejrzeć się nieco w metafizyce prof. Struvego.

Pomijając wywody historyczne, w których prof. S. nie potrącił nawet kwestyi rodowodu pojęcia energii, wbrew wyrażonemu przez siebie wymaganiu metodologicznemu: „Rozbiór krytyczny każdego pojęcia obejmować winien rozbiór jego historyczny" — streśćmy zasadniczą myśl rozprawki.

Mój podmiot, moje „ja" objawia się w mojej działalności dowolnej, w energii osobistej. Cokolwiek ogranicza moją energię osobistą, cokolwiek mi się narzuca i jaźni mojej „opór" stawia, wszystko to muszę uważać za czynnik obcy, ode mnie niezależny, za byt przedmiotowy. Bezpośrednio bytu przedmiotowego nie poznajemy, ale możemy sobie wytworzyć o nim pojęcie „z treści naszego własnego działania oraz z charakteru oporu, przeciwstawiającego się temu działaniu." Stwierdzamy faktycznie dwie postaci ograniczenia własnej samorzutności: ograniczenie zewnętrzne czyli zmysłowe i wewnętrzne czyli nadzmysłowe. Pierwsze ujmujemy w pojęcie *materyi*, do której zaliczamy i ciało własne. Drugi rodzaj ograniczeń polega na tem, że mi się narzucają różnorodne uczucia, popędy, skojarzenia, gdy tymczasem sam chciałbym rozwijać myśli swoje zgodnie z prawami logiki; a nawet same prawa logiczne są czynnikami ograniczającymi myślową działalność moją, sama prawidłowość logiczna jest czemś ode mnie niezależnem, przedmiotowem, do czego stosować się muszę. Wszystkie te bezpośrednio odczuwane ograniczenia sprowadzamy do pojęcia *duszy*.

Materyę uważamy pospolicie za czynnik zasadniczo od nas samych różny, a stąd — za bezwiedny, nierozumny. Duszę, jako czynnik także względem naszej jaźni przedmiotowy, uważamy za czynnik umysłowy, racyonalny. Pojęcie [illegible] przedmiotowego stąd powstało, że człowiek objaśnił sobie działanie rzeczy otaczających jako działanie istot do siebie podobnych, a więc przez uosobienia mitologiczne. W dalszym zaś ciągu, pod wpływem poznania prawidłowości przyrody i pojęcia jej jako jednolitej całości, antropomorfizm mitologiczny przeobraził się w monoteizm; powstało pojęcie Boga jako czynnika wytwarzającego objawy świata zewnętrznego. Temu Bogu człowiek przypisał „racyonalność i idealizm" swego własnego ustroju umysłowego, a nadto go wyidealizował.

Materyalizm właśnie dogmatycznie przyjmuje gminne pojęcie materyi bezmyślnej i z niej bezskutecznie usiłuje objaśnić czynnik racyonalny, idealny — duszę i ducha.

Rozwój pojęcia ducha, jako bytu przedmiotowego, podąża w dwóch kierunkach: dogmatycznym czyli religijnym i krytycznym czyli filozoficznym. Filozofia, ściślej metafizyka, stara się wytworzyć pojęcie ducha przedmiotowego na podstawie doświadczenia wewnętrznego i zewnętrznego, jedynie przy pomocy sił umysłowych człowieka; nadto, zawsze usiłowała ona dwoistość bytu przedmiotowego, materyę i ducha, sprowadzić do bytu jedynego.

Dwie pary pojęć spółzależnych — istoty bytu (substancyi) i zjawiska, przyczyny i skutku, dają się wzajem do siebie sprowadzić. Źródło pojęcia przyczynowości tkwi w poczuciu energii osobistej, krępowanej w działaniu swojem. Uznanie bytu przedmiotowego nie jest wnioskiem analogicznym, ani antropomorfizmem, lecz „jest to bezpośrednia treść samego faktu obcego na nas działania." Działanie to nieuniknienie ściągamy do pewnej przyczyny, istoty, energii, słowem — bytu przedmiotowego, którego natury nie znamy. Z tem powinna zgodzić się „najściślejsza fizyka a szczególnie spółczesna teorya energietyki." Skoro zaś tak jest, tedy odwieczny spór pomiędzy fizyką a metafizyką daje się usunąć przy pomocy pojęcia energii, jako istoty bytu. Do pojęcia energii dają się ostatecznie sprowadzić pojęcia materyi i ducha. Energia położenia czyli potencyonalna odpowiada pojęciu istoty bytu; energia ruchu czyli kinetyczna — pojęciu zjawiska. O energii potencyonalnej, tak samo jak o istocie bytu, nic nie wiemy nad to, że jest źródłem zjawisk, że przechodzi w postać kinetyczną. Przechodzimy więc z gruntu fizycznego na grunt metafizyczny.

Materya ulotniła się. Jej pojęcie, jako substancyi czyli istoty bytu, zastąpiono dynamicznem pojęciem siły, a ostatecznie pojęciem energii, o której istocie fizyka nic nie orzeka, „oddając pod tym względem *carte blanche* metafizyce."

Energia kinetyczna, czyli ruch (tak) daje się *ściśle* określić za pomocą wzorów

matematycznych, z jednej strony stosowalnych do sprowadzania różnych zjawisk zamierzonych przez badacza, z drugiej — do przewidywania przyszłych zjawisk. Ale wzory matematyczne są wytworami rozumu. Sama możność wyznaczania ruchów za pomocą takich wytworów myśli dowodzi już jednorodności praw myśli logicznej i praw zewnętrznego ruchu bytu przedmiotowego. Gdyby tak nie było, wyniki myśli byłyby niezastosowalnemi do rzeczywistości, miałyby znaczenie czysto podmiotowych urojeń. Zgodność jest rękojmią jednorodności obojga — myśli i bytu.

Więc objawy energii ruchu są racyonalnymi, jak prawa fizyczne, z któremi się zgadzają. Nadto, racyonalność tę stwierdzamy w celowości świata jestestw żywych, a stwierdzamy ją „wyłącznie przy pomocy doświadczenia wewnętrznego, faktów naszej świadomości.“ Dusza jest czynnikiem, który celowo buduje ustrój żywy.

Zważmy, że życie psychiczne jest bezpośrednio i lepiej nam znane, niż przyroda fizyczna. Wszak przez świadomość poznajemy świat przedmiotowy. Zważmy i to, że materyę, jako byt martwy i bezwiedny, zastąpiono energią, jako czynnikiem samorzutnym i „ruchliwym z natury swojej,“ a więc zrozumialszym dla nas. Idzie teraz o to, jakby nietylko materyę, ale i ducha sprowadzić do tej ruchliwej energii.

Moja energia osobista, moja jaźń, jest, jak widzieliśmy, wytworem bytu przedmiotowego, zwanego duszą. Ta dusza osobnicza tak ma się do ducha powszechnego, jak każde dane ciało do całej przyrody: jest częścią całości. Ponieważ energii psychicznej, dostępnej nam jako jaźń, dusza i duch, niepodobna objaśnić z energii fizycznej, bo to, co wyższe i bardziej złożone, nie da się objaśnić z tego, co niższe i mniej złożone, więc nie pozostaje nic innego, jak przyjąć, że zarówno energia fizyczna, jak psychiczna, są objawami jednej „energii potencyalnej wszechbytu.“ Trzeba tylko wykazać, że w objawach energii fizycznej i psychicznej w rzeczy samej jest coś z istoty wspólnego.

Otóż jest; tym wspólnym rysem jest: ruch. „Stany psychiczne są pewnymi ruchami“ (str. 35). „Że to jest ruch istotny, rzeczywisty, o tem świadczy bezpośrednio *następstwo* jednego stanu psychicznego po drugim, *falowanie* naszych uczuć, *bieg* naszych myśli, ich większa lub mniejsza *chyżość*, wreszcie działalność naszej woli, *dążąca najprostszą drogą* do swych celów.“ Tak więc, dualizm zjawisk fizycznych i psychicznych daje się sprowadzić do jedności, do ruchu, w obu przypadkach — racyonalnego.

Nie stworzyliśmy sami swojego rozumu: jest on objawem czynnika przedmiotowego, od nas niezależnego i także rozumnego. Ale rozum istoty wszechbytu musi być samowiednym, bo rozum bezwiedny nie byłby rozumem. Rozumną istotą wszechbytu musi być duch powszechny, Bóg. „Bóg jest energią potencyalną wszechbytu“; w nim zlewa się przyczyna i skutek, istota i zjawisko. Tyle prof. Struve.

Przez *energię* fizyka rozumie miarę pracy wykonywanej lub takiej, którą w warunkach określonych może być wykonaną przez dowolne ciało. Przez *pracę* zaś rozumie wszelką zmianę, np. przemieszczenie się ciała. Ponieważ tu chodzi tylko o miarę pracy, a mierzyć można tylko wtedy, gdy się ma możliwie stałą jednostkę, więc też fizyka pracuje nad ustaleniem jednostek mierniczych, jak np. jednostka długości — metr, ciężaru — gram, trwania — sekunda; dalej wytwarza jednostki złożone, jak np. kilogramometr, czyli miarę pracy wykonywanej przy dźwiganiu tysiąca gramów na wysokość metra. Ciało wolno spadające wykonywa pracę, której miarę można wyrazić liczbą gatunkową; taką miarę pracy ciała spadającego nazywamy jego energią kinetyczną czyli ruchu. Gdy to samo ciało jest zawieszone na pewnej wysokości, natenczas w niektórych przypadkach może nam chodzić o to, że ciało mogłoby spaść, a więc wykonywać pewną pracę, gdyby było wolnem, np. woda zamknięta w stawie szluzą mogłaby, w razie usunięcia szluzy, spadać na koło młyńskie i wprawiać w ruch mechanizm młyna. Wtedy mówimy o energii możliwej, potencyalnej, czyli energii położenia. Miarą jej będzie ilość pracy przewidywanej, jak np. wartość dochodowa domu mierzy się przewidywanym z niego dochodem w określonych warunkach eksploatacyi. Ale, jak przewidywany dochód nie jest dochodem rzeczywistym, tak energia potencyalna jest tylko miarą przewidywanej czy w określonych warunkach możliwej pracy.

Zasada zachowania energii orzeka, że, jakkolwiek zmiany spostrzegane w przyrodzie, czyli postaci pracy, bywają wielce rozmaite, jednak miara wszelkich prac rzeczywistych i możliwych razem wziętych jest niezmienną; innemi słowy: suma energii kinetycznej i potencyalnej w świecie jest wielkością stałą.

Dzięki tej zasadzie, nie przyjmując żadnych istot, bytów, sił i nie wychodząc po za obręb dostępnych dla doświadczenia zjawisk, fizyka może w wielu przypadkach, w tych mianowicie, gdzie zachodzące zmiany potrafi mierzyć względnie stałemi jednostkami, prowadzić dość dokładną rachunkowość pracy w przyrodzie fizycznej. Ta rachunkowość pracy wciąż równoważnie zmiennej nazywa się *energetyką*.

Życie nasze psychiczne, dane w doświadczeniu pod postacią wyobrażeń, afektów, pożądań, wciąż zmiennych i w rozmaity sposób ustosunkowanych do siebie i do warunków cielesnych, częstokroć także nazywamy pracą, tak samo, jak miarę sprawności woli i myśli nazywamy energią duchową.

Jednak energetyka fizykalna nie da się rozciągnąć do szeregu zjawisk psychicznych dlatego, że z tych zjawisk nie możemy wyanalizować i oderwać ani masy, ani położenia, ani drogi przebywanej z określoną prędkością, że nie możemy do analizy zjawiska psychicznego zastosować tych abstraktów, z którymi energetyka fizykalna ma właśnie do czynienia. Wobec tego nie możemy mierzyć t. zw. pracy psychicznej tak, jak mierzymy fizyczną. Że zaś dla fizyki energia jest miarą pracy rzeczywistej lub możliwej, więc przeniesienie fizykalnego pojęcia energii do psychologii nie da się uskutecznić. Wszak niepodobna brać poważnie tego, co prof. Struve mówi o takich przenośniach mowy potocznej, jak: „bieg myśli,“ „falowanie uczuć,“ „chyżość myśli“ i „podążanie najprostszą drogą do celów“! Niepodobna nawet w obrębie fizyki brać energii za jedno z ruchem jak to czyni autor, skoro energia jest miarą pracy rzeczywistej lub możliwej, wyrażoną w jednostkach, a więc, krócej mówiąc, jest liczbą. Niepodobna pojęcia oporu fizycznego przenieść do psychologii.

Prof. S. „oporem“ w psychologii nazywa fakt narzucania się nam rozmaitych stanów świadomości wbrew naszej woli. Okazuje się jednak z jego wywodów, że narzucają się nam czucia zmysłowe, wyobrażenia, stany uczuciowe, pożądania, skojarzenia, a nawet tryby myślenia logicznego, którym ulegać musimy, bośmy ich sami nie stworzyli. Wobec tego wolno zapytać: czemże jest ta nasza wola, czego chce ona, skoro wszelka możliwa treść bywa narzucaną albo przez doświadczenie i porządek, w jakim się ono nastręcza, albo przez duszę, która jest bytem względem naszej jaźni przedmiotowym i stąd jedynie poznawanym, że stawia opór? Jaką jest treść jej i jakimi byłyby jej właściwe tryby myślenia, gdyby zdołała pokonać opór mechanizmu skojarzeń i mechanizmu logicznego, narzucanego przez duszę?

(D. n.).

A. Mahrburg.

NOTATKI NAUKOWE.

— Kassem Amin Bey, sędzia w Kairze, napisał świeżo książkę w języku arabskim w obronie kobiety. Domaga się on: 1) wykształcenia i wychowania; 2) samodzielności w czynach, myślach i uczuciach, 3) wolności w wyborze małżonka; 4) równouprawnienia kobiety w procesie rozwodowym pod względem żądania i udzielania rozwodu; 5) zakazu poligamii. Wywód tych żądań opiera się na nakazach koranu; autor przypisuje obecny stan nieodpowiedni dawnym obyczajom ludów, które zewnętrznie tylko przyjęły islam. Koran twierdzi: „Kobieta ma tyleż praw, co obowiązków. Jedno z dobrodziejstw, jakiemi Bóg obdarzył mężczyznę, jest to, że dał mu kobietę, a połączył ich w tym celu, aby się miłowali i wspierali wzajemnie. Pamiętajcie o przysięgach, jakie składacie kobietom.“

— Słynny lekarz, prof. Gerhardt, wygłosił świeżo odczyt o szkodliwości związków małżeńskich osób chorych na gruźlicę. Najbardziej na niebezpieczeństwo narażoną jest kobieta, gdyż przedewszystkiem może się ona zarazić od męża, powtóre zaś połóg i karmienie mogą obostrzyć stan chronicznie chorej lub nawet zupełnie uleczonej. I u mężczyzn z nieznaczną gruźlicą rozwija się ona szybko po zawarciu małżeństwa. Według Gerhardta lekarz, pytany o radę, w każdym wypadku powinien wymagać, ażeby dany osobnik rok cały przed zawarciem związku małżeńskiego był uważany za zupełnie uleczonego.

W dyskusyi nad tą żywotną kwestyą wzięli udział profesorowie Furbringer i Leyden. Zgadzają się oni zasadniczo z wywodami Gerhardta, podają jednak z własnego doświadczenia bardziej optymistycznie zabarwione spostrzeżenia. Fürbringer przytacza kilka wypadków, gdzie mimo jego zakazu ludzie wycieńczeni gruźlicą ożenili się, a po roku lub dłuższym czasie wyglądali i czuli się doskonale. Leyden twierdzi, że możliwość zarażenia się kobiety od męża jest niewątpliwie wielką, ale nie konieczną, a dzieci rodziców ciężko chorych na gruźlicę mogą pozostać zupełnie zdrowemi. Na zakończenie Gerhardt jeszcze raz podkreśla wyżej wymieniony postulat i występuje przeciwko tym autorom, którzy twierdzą, że często moment psychiczny, wypływający z niemożności poślubienia osoby ukochanej, może mieć gorsze skutki dla zdrowia, niż samo zawarte w tych warunkach małżeństwo: *z miłości* umiera się częściej w powieściach, niż w życiu. (*b.*)

— W Chinach rozwinął się ostatnimi laty nader silny ruch reformacyjny. Po upadku dążeń młodego cesarza Kwang-su i powrotu do władzy starej cesarzowej, ruch ten znajduje swój wyraz przedewszystkiem w bujnym rozkwicie dziennikarstwa. W r. 1895 wychodziło w Chinach tylko 11 gazet miejscowych, które drukowano w Hong-kong albo miastach portowych (Kantonie, Fu-tchu, Tien-tsinie). W roku 1898 w samym Szang-haju wydawano 16 dzienników chińskich, z tych 12 codziennych, 1 dwa razy w tygodniu, 2 tygodniki, 1 co dziesięć dni. Po za tem w innych częściach Chin wychodziło jeszcze 20 gazet. Prócz tego drukuje się jeszcze 35 „przeglądów,“ po większej części broniących sprawy misyi. Prawie cała prasa peryodyczna stoi na stanowisku konieczności reform, niektóre są poświęcone kwestyom specyalnym (medycyna, rolnictwo, matematyka, wychowanie). Ogółem tedy liczono w chwili uwięzienia Kwang-su około 70 wydawnictw.



LITERATURA I SZTUKA.

Nowy obraz dziejów literatury polskiej.

(Ciąg dalszy).

Rozprawiając (w t. II, na str. 52 i nast.) o *Józefie* Bartłomieju Zimorowiczu, autor dość surowo a zwięźle osądza niektóre z ogłoszonych pierwocin jego pióra — między innemi fanatyczny *Testament katolicki*, — i dodaje, że poeta sam później zganił ostro te próby ułomne; przytoczony wszakże przez historyka, na poparcie twierdzenia, wyjątek z sielanki *Trużenicy* świadczy jedynie o tem, iż Zimorowicz krytyczno-żartobliwem okiem spoglądał na swe młodociane pieśni miłosne — których podobno wcale nie znamy... Obu braci (Józefa i Szymona) nie docenia wogóle nasz autor, dopatrując z góry w pozostałej po nich puściznie śladów „psującego się smaku" — czego widocznie nagłówek „doby" wymagał. Szczególniej pokrzywdzony został Szymon Zimorowicz; bo nie zwrócono wcale uwagi na to, że jako pieśniarz był prawowitym następcą-kontynuatorem Jana Kochanowskiego i Szymonowicza, — że nikt przed nim tak płynnych pod względem rytmicznym wierszyków nie pisał. O *Roksolankach* autor nie daje należytego pojęcia. Niektóre z nich streszcza, ale tak bezwładnie, że tę operacyę śmiało wziąć można za prozaiczne nicowanie piosenek. Dla przykładu zestawię kilka strof tekstu z treścią, w książce podaną:

Słowa poety (*Danilo*):

Czemu narzekają smutne moje strony,
Czemu żałobliwie kwili flet pieszczony?
Dla ciebie, nadobna Halino,
Dla ciebie, kochana dzieweczyno!
Miasto lubej pieśni, miasto słodkiej lutnie
Muszę ciężko wzdychać, lamentując smutnie.
Niemasz cię, nadobna Halino,
Niemasz cię, kochana dzieweczyno!
. . . . *)
Gdyby mię Kupido odział swemi pióry,
Żebym mógł polecieć przez lasy, przez góry,
Do ciebie, nadobna Halino,
Do ciebie, kochana dzieweczyno,
Najmniej-bym się nie bał skrzydłami pośpieszyć.
i t. d.

Streszczenie, podane w *Historyi literatury:*

„Danilo pyta siebie: „czemu narzekają smutne jego strony," odpowiada: „dla ciebie, nadobna Halino, dla ciebie, kochana dzieweczyno." Potem wyraża pragnienie, żeby mógł dostać piórek i polecieć przez lasy, przez góry: „do ciebie, nadobna Halino."

Krzysztofa Opalińskiego — który jako wojewoda poznański, stojąc na czele pospolitego ruszenia w r. 1655, był zmuszony podpisać „ugodę" ze Szwedami pod Ujściem — autor, w ślad za innymi, piętnuje na ślepo imieniem „zdrajcy," i swem oburzeniem patryotycznem zaczernia ocenę działalności wybitnego pisarza. Stąd i satyry „Juwenalisa polskiego," stanowiące wymowny, tem ważniejszy, iż odrębny, czysto-indywidualny, protest przeciwko wybujałej reakcyi katolickiej—nie znalazły w książce odpowiedniego oświetlenia.

O wiele łaskawszym okazał się historyk dla Jana Andrzeja Morsztyna, którego niezbite świadectwa dziejowe (spopularyzowane u nas przez K. Jarochowskiego) przedstawiają, jako nikczemnika, kupczącego stale dobrem Rzeczypospolitej. Opaliński był „zdrajcą" — bo tak przezywać go każe czcigodna tradycya, przez mściwych reakcyonistów szczęśliwie niegdyś zapoczątkowana; o Janie Andrzeju Morsztynie natomiast, zręcznym pensyonarzu „wielkiego elektora," mówi się tylko, że „lawirował ostrożnie śród sprzecznych ze sobą dążności, nie bardzo silnie przywiązany do ojczyzny" (t. II, str. 70).

*) Opuszczono tu 16 wierszy, nie uwzględnionych w streszczeniu.

Samuela ze Skrzypny Twardowskiego poczytuje autor „głównie" za „epika," mając na względzie trzy jego „poematy historyczne" — *Przeważną legacyę, Władysława IV* i *Wojnę domową* — które dla wielu (między innymi dla piszącego te słowa) są tylko kronikami wierszowanemi.

W artykule o Wacławie Potockim niema wyraźnej oceny *Peryodów* (czyli trenów na śmierć syna, Stefana); potrącono tylko o nie półcienną wzmianką bibliograficzną i zarzucono im lakonicznie „rozwlekłość." Wprawdzie nie cały zbiór tych wierszy żałobnych zasługuje na uznanie z punktu widzenia literacko-artystycznego; ale są tam ustępy, tchnące potęgą słowa i niezwykłą energią uczucia bolesnego. Jako żywe, a w odpowiedni kształt ujęte, odgłosy bezgranicznej rozpaczy ojcowskiej, większą daleko w dziedzinie piękna mają wartość, niż niejeden rzekomy „poemat historyczny."

Elżbieta Drużbacka, według autora, „pochodziła z Wielkopolski." Dziwić może stanowczość tego twierdzenia; kwestya bowiem, gdzie poetka ujrzała światło dzienne, tak dalece jest nierozstrzygniętą, że biografowie wahają się dotąd między Wielkopolską a Małopolską. Jeśli zwrócimy uwagę na to, że Elżbieta z Kowalskich Drużbacka spędziła swą młodość na dworze pana *małopolskiego*, przy boku Sieniawskiej, *małopolanki* (z domu Lubomirskiej), że pod koniec życia, rozporządzając sobą swobodnie, osiadła śród murów klasztornych w Tarnowie, — za bardziej prawdopodobne uznać będziemy musieli, iż gniazdem jej rodzinnem była ziemia krakowska.

Oceniając różne prace pierwszej znakomitszej poetki naszej, autor (podobnie, jak niegdyś Adam Bełcikowski w swem studyum o Drużbackiej) wyróżnia i sławi bezzasadnie jej sielankę p. n. *Pochwała lasów*.

„Śliczną jest (pisze w t. II, na str. 159) sielanka p. t. *Pochwała lasów*, — zarówno w odmalowaniu poranku i budzącego się życia w naturze, jako też w obrazie zajęć i zabaw pasterek, nie konwencyonalnych i czułostkowych, lecz prawdziwych, rzeczywistych." „Odmalowanie poranku" — a właściwie jedna tylko zwrotka („Jak ranna zorza rumieniec swój śliczny pokaże, rosa perłowa kropelki pozbiera, jużci pasterz okoliczny nie zaśpi, a ptak wyśpiewuje wszelki...") odznacza się rzeczywiście pewnym wdziękiem naiwności, przypominającym szczebiot dziecka, czułego na piękno przyrody roślinnej, która je otacza; ale reszty sądu pochlebnego uzasadnić niepodobna. Kto z należytą uwagą przeczyta *Pochwałę lasów*, ten spostrzeże nadewszystko podkład w niej dydaktyczny: *lepiej w lesie, niż w pałacu; lepsze ubóstwo przy szczerości, niż zbytek w związku z goryczą i obłudą*. Żadnych tu niema „pasterek," żadnej, pod postacią figur ludzkich, „rzeczywistości" sielskiej. Opowiadanie jest nieco zamaskowane idyllicznie i spowite w naukę moralną; lecz można się domyśleć zdarzenia, które ten utwór wywołało. Grono dziewcząt, nie pozbawionych kultury umysłowej a mieszkających w jakimś wielkim dworze, wyszło na przechadzkę do lasu. Była tam i młodzież męzka („pasterze"); ale to się w „sielance" słabo ujawnia. Panienki tańczyły, goniły się wzajemnie, swawoliły, zbierały kwiatki, piły wodę z krynicy, a w końcu „mleka zsiadłego na misce glinianej podjadłszy," wróciły do domu. Trzeba się całkiem bezkrytycznie zapatrywać na tę naiwnie bałamutną niby-idyllę, ażeby nie spostrzedz, że „pasterki" znają świat wielkopański, choć „o brylantowe korony nie stoją," — że wiedzą „o kwiatach, posianych od bogini Flory," a rozumują, jak Horacy w swej słynnej *Epodzie* II-ej.. Nie można tedy utrzymywać, żeby *Pochwała lasów* była „ślicznym" obrazkiem z życia „pasterek rzeczywistych."

Poglądy Chmielowskiego na pisarzów i ich prace nacechowane są niekiedy uprzedzeniem i jednostronnością. Ujawnia się to między innemi w ocenie działalności dwu koryfeuszów doby Stanisławowskiej — Naruszewicza i Krasickiego. Pierwszemu historyk bardziej widocznie sprzyja — przedstawia go nam głównie, jako miłującego swą ojczyznę, obywatela-poetę; drugiemu natomiast zarzuca obojętność na sprawy społeczno-narodowe. „Nie żądamy od niego (pisze w t. II, na str. 186) ani wspaniałych obrazów, ani słów porywających, bo nie były to cechy ówczesnego smaku poetyckiego; szukamy tylko choćby silniejszego wyrazu, choćby takiego przebłysku uczucia, jaki w *Głosie* Naruszewicza... dostrzegamy. Ale szukamy naprożno."

Prawda, że Krasicki w swych poglądach politycznych, o ile je ujawnił, zdradza skłonność do oportunizmu; nie trudno wszakże byłoby w jego pismach znaleźć gorącą (stosunkowo do atmosfery współczesnej) a piękną, choć łagodną przestrogę dla narodu, skreśloną w tym samym, co *Głos* Naruszewiczowski, duchu. Mam tu przedewszystkiem na myśli finały dwu satyr: *Świat zepsuty* i *Złość ukryta i jawna*. Przytoczę ustęp wymowniejszy:

Rozpacz podział nikczemnych. Wzmagają się wały,
Grozi burza, grzmi niebo; okręt nie zatonie,
Majtki zgodne z żeglarzem gdy staną w obronie:
A choć bezpieczniej okręt opuścić i płynąć,
Poczciwiej być w okręcie—ocalić lub zginąć.

Z drugiej strony, składając należny hołd obywatelskim uczuciom Naruszewicza, musimy, zgodnie ze świadectwami dziejowemi, zaznaczyć, że Biskup Warmiński nosił wyżej sztandar godności osobistej i nigdy się, takim, jak jego starszy współzawodnik, panegiryzmem nie skalał... Piotr Chmielowski powiada (t. II, str. 177), że Naruszewicz w swych *Satyrach* „często naśladował Boileau'a, ale po swojemu." Zdanie to mieści w sobie pewną niedokładność: Naruszewicz w niektórych satyrach *swoich* tłomaczył i przerabiał poetę francuskiego... Do takich należą: *O prawdziwem szlachectwie* (oprócz końcowych 12 wierszy oryginalnych, przekład satyry: *Sur la veritable noblesse*), *Głupstwo* (wierna kopia s. *Sur la folie*) i *Małżeństwo* (skrócone tłomaczenie s. *Sur les femmes*).

W artykule o Krasickim autor pominął niemal *Monachomachię*, dotknąwszy zaledwo jej treści siedmiowierszową wzmianką; a jest to przecież poemacik epokowy, stojący o wiele wyżej od swego niby wzoru (*Pulpitu* Boileau), — najświetniejsza, najżywsza z prac Biskupa Warmińskiego, śmiała, iskrząca się dowcipem, i pod względem literacko-artystycznym, w stosunku do wymagań współczesnych, wzorowo kształtna.

Autor z bezwzględną stanowczością twierdzi, że „artystycznie znacznie wyżej wzniósł się nad Krasickiego Stanisław Trembecki" (t. II, str. 201). Zdanie to, wyznać muszę, stanowi dla mnie przykrą niespodziankę i zagadkę. Szambelan Stanisława Augusta, a następnie rezydent, żyjący na łaskawym chlebie u Szczęsnego Potockiego w Tulczynie, zostawił po sobie, jak wiadomo, bardzo szczupłą puściznę poetycką, z samych niemal wierszyków okolicznościowych złożoną. Najokazalsza tego spadku ozdoba, *Zofiówka*, jest kształtną pod względem językowym, ale marną w gruncie, bezduszną, dymem panegirycznym okopconą, cudzych pomysłów lepianką. Trembecki w porównaniu z Krasickim, podniósł sztukę stylowo-wierszopisarską na nieco wyższy szczebel rozwoju, lecz jako literat-artysta, we właściwem, wyższem

tego słowa znaczeniu, mierzyć się z nim nawet nie może, bo puszczał w świat jedynie *pyłki*, niskiego zresztą, nieraz arcypoziomego natchnienia.

Czasem niewątpliwa a krótko wyrażona usterka historyczno - literacka tak w książce wygląda, jakby się odruchowo, podczas prędkiego pisania, wymknęła z pod kontroli samowiedzy autorskiej. W zbyt stosunkowo obszerny (tyle niemal miejsca w dziele, co i *Treny* Kochanowskiego, zajmujący) artykuł o niezasłużenie słynnej tragedyi p. n. *Barbara Radziwiłłówna* wplata historyk następną uwagę pochwalną: „A wierszom Felińskiego rzeczywiście nic prawie zarzucić niepodobna ze stanowiska pseudo-klasycznego, co najwyżej jakiś nieużywany przymiotnik lub imiesłów, użyty dla rymu, *zawsze wytwornego*“ (t. I, str. 87). Nie ulega wątpliwości, że „wiersze,“ które dzisiaj czytać trudno, były niegdyś wysoko cenione przez krytyków, i zachwycały publiczność polską— przed dwudziestu jeszcze laty chodzili po ziemi starcy z wykształceniem uniwersyteckiem, którzy w chwilach pogodnego nastroju recytowali całe sceny z *Barbary Radziwiłłówny*; „rymy“ wszakże, o ile je specyalnie rozważano, nigdy chyba za „wytworne“ uchodzić nie mogły. Alojzy Feliński w spajaniu wierszy bardzo rzadko przekracza sferę najpospolitszych sufiksów i zakończeń gramatycznych. Dla przykładu wypiszmy szereg rymów ze sceny 1-ej aktu IV-go: „ustawny—sławny,“ „dumie — umie,“ „sobie — tobie,“ „pierwszeństwo — dostojeństwo,“ „krajem — Dunajem,“ „Obertynem — wawrzynem,“ „uśmierzył — rozszerzył,“ „radził — zdradził,“ „w Kmicie—na szczycie,“ „mieszczę — jeszcze,“ „dały — stały,“ „obywatela — przyjaciela,“ „gorliwość — chciwość,“ „śmiałość — zuchwałość“ itd. I taka częstochowszczyzna ma nosić miano rymu „zawsze wytwornego!?...“

Nie wiem, dlaczego, mówiąc o najdawniejszych w Polsce, literackich zapowiedziach romantyzmu, o najrańszych pierwiosnkach, wyrywających się ku słońcu ze skrzepłych objęć rzekomej klasyczności, przytacza Chmielowski czterowiersz Jakóba Jasińskiego, drobny wyjątek z kazania, wygłoszonego przez Woronicza na pogrzebie księcia prymasa (1794), a zapomina zupełnie o najwymowniejszej, znacznie wcześniejszej od zacytowanych zjawisk, pięknej gnomie Kajetana Węgierskiego p. n. *Myśl o poezyi*.

Pierwsze, najcharakterystyczniejsze chwile walki klasyków z romantykami przedstawiono szczegółowo, ale nazbyt rozwlekle i czysto mechanicznie — w formie długiego łańcucha wyciągów i suchych streszczeń. Kazimierzowi Brodzińskiemu w tej ważnej sprawie słusznie autor przyznał rolę główną; poświęcił mu jednak stosunkowo za wiele miejsca (przeszło 1½ arkusza druku) i faktycznie, choć może bezwiednie, wyniósł po nad Jana Kochanowskiego. Ze szczególnem, jak widać, umiłowaniem przedmiotu rozprawia Chmielowski o *Wiesławie*, i utrzymuje, że ten skromnej wartości artystycznej poemacik, „jako sielanka, jest najcelniejszym płodem naszej literatury.“ Tak, bezwątpienia; należy tylko, zawarte w powyższej syntezie, określenie odpowiednio uzupełnić: *jako sielanka w swoim rodzaju, śród zakresu danej doby, na tle życia wiejskiego osnuta*. Wypada tu wreszcie zaznaczyć, że niewątpliwy stosunek zależności genetycznej, łączący *Wiesława* z „sielanką mieszczańską“ Goethego, historyk zupełnem pokrywa milczeniem*). (D. n.).

Antoni Gustaw Bem.

*) W poprzednim ciągu niniejszego artykułu na str. 422, szpalta 3, wiersz 4 od dołu: zamiast „wieku XVI“ powinno być: *wieku XIV*. Na str. 423, szpalcie 2, w. 12: po wyrazie „spotykają“ opuszczono cudzysłów.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYA. Leon Rygier: „Z greckich motywów,“ str. 40.

POWIEŚĆ. Mikołaj Jósika: „Ostatni Batory,“ przekład z węgierskiego A. Langego, 2 t. („Bibl. dzieł wybor.“).

— Kosiakiewicz: „Rick i Rock“ (*Gazeta polska*).

— Rodziewiczówna: „Dewajtis“ („Bibl. dzieł wybor.“).

DZIEŁA ILUSTROWANE. „Monografia ilustr. kościołów katolickich w Król. Polskiem.“ Zeszyt 8. Br. Brzozowski.

PODRÓŻE. Edm. Planchut: „Chiny i Chińczycy,“ przeł. Michałowski. („Bibl. dzieł wybor.“).

— E. Bard: „Chińczycy u siebie,“ przekł. z franc. (Dod. do *Gaz. Polsk*), 2 t.

HISTORYA. „Dzieje powszechne ilustrowane.“ Wiedeń, Boody (Centnerszwer), zeszyty 361—4.

HYGIENA. Kaz. Rakowiecki: „Mieszkania ludności wiejskiej.“ Odb ze *Zdrowia*, str. 4 i 32.

KRYTYKA. Leser. „Neurastenicy w literaturze I. St. Przybyszewski.“ Lwów, 1900.

PRASA ROSYJSKA

W artykule „Oświata ludowa w guberniach prywislinskich,“ *Mosk. Wied.* wypowiadają następujące uwagi: „Trzydziestosześcioletnie doświadczenie, od chwili wydania Ukazu Najwyższego w r. 1864, dowiodło najwyraźniej, że gminy nie stoją na tej wysokości, aby można powierzać im pieczę o nauczaniu początkowem. Korzystnem by też było ustanowienie niewielkiego ale obowiązkowego podatku szkolnego. Gdy włościanin tutejszy będzie zmuszony płacić choćby najnieznaczniejszy podatek na utrzymanie szkoły, to z pewnością będzie akuratnie posyłał dzieci do szkoły i będzie się nią interesował. Obecnie najbardziej pilni uczniowie uczą się 100—110 dni w roku, reszta—połowę tego; wstępują do szkoły w różnych porach i w różnych porach samowolnie występują z niej. Nie można się wobec tego dziwić, że szkoła ludowa w guberniach prywislinskich daje bardzo, ale to bardzo małe wyniki i wiedzie żywot marny. Gmachy szkolne nie są odnawiane we właściwym czasie i przeważnie nie odpowiadają swym celom. Ukaz z r. 1864 wymaga przejrzenia i przekształcenia, jednocześnie zaś należałoby zwrócić uwagę na fakt, iż szkół ludowych w kraju prywislińskim jest stanowczo za mało. Od roku zeszłego łatwo stosunkowo wydawane są pozwolenia na zakładanie ochron, przez co niewątpliwie wzrosła liczba tajnych uczelni z językiem wykładowym — polskim, gdyż kontrola, ustanowiona nad temi ochronami, jest z natury rzeczy dość powierzchowna. Zmniejszenie liczby godzin wykładu języka rosyjskiego i słowiańskiego na rzecz polskiego powoduje małe stanowczo postępy w nauce języka państwowego. Ta ostatnia okoliczność jest poważną przeszkodą rozwoju oświaty ludowej i należy z nią walczyć w imię celów rosyjskiej polityki nacyonalnej wogóle.“

KRONIKA

— Publicysta angielski, Whelgley, ogłosił świeżo artykuł w *Fortnightly Review*, w którym opowiada historyę projektu zmonopolizowania handlu pszenicą na drodze układu pomiędzy Rosyą a Stanami Zjednoczonymi Ameryki półn. Projekt miał wyjść przed czterema laty (mówiono i u nas w owym czasie o tem). Opierał się na obliczeniach następujących: Ameryka i Rosya produkują 90% wszelkiej, znajdującej się na rynku pszenicy, 10% można będzie dokupić, płacąc po 1 dol. za buszel. W taki sposób osiągnięty zostanie zysk, z którego Ameryka otrzyma 350, a Rosya 200 milionów zysku. Oczywiście, że państwa, zakupujące pszenicę, będą musiały monopol ten opłacić. I tak Anglię kosztować on będzie 15 milionów funtów szterl. po nad normę dzisiejszą, Niemcy dopłacą 80 mil. marek. Projekt ten, jak opowiada p. Whelgley, rozbił się o upór ministra amerykańskiego, Mortona, zaciekłego manchesterczyka, który nie chciał słyszeć o żadnej interwencyi państwowej, widząc w dogmatach popytu i podaży niewzruszone drogowskazy polityki ekonomicznej.

Wiadomości społeczne. Właściciel apteki, p. Filebon, występuje z projektem ograniczenia godzin pracy farmaceutów z zastosowaniem dyżurów na zmianę (*Warsz. Dniew.*).

— P. o. naczelnika miasta Odesy, rozpatrzywszy przedstawione sobie przez odeskiego policmajstra dane o osobach, zatrzymanych podczas nieporządków, zaszłych w tem mieście w d. 29 i 30 lipca r. b., oraz zważywszy, że osoby te na wezwanie policyi, nawołującej do rozejścia się, nie spełniły tego żądania i natychmiast nie opuściły miejsca zaburzeń — postanowił: osoby te, w ogólnej liczbie 90, na zasadzie art. 22 i 23 rozporządzenia o wzmocnionej ochronie, obowiązującego w Odesie, skazać: jedną na miesiąc, 17 na dwa miesiące, resztę zaś — 72 osoby na trzy miesiące więzienia. Donosi o tem *Odes. Listok*.

— Zarządy niektórych kolei żelaznych nie przyjmują zupełnie kobiet do służby, inne ograniczają pracę kobiet w tym urzędzie, inne znów traktują telegrafistki na równi z mężczyznami bez żadnych ograniczeń. Z tego względu na zjeździe telegrafistów w Warszawie ma być rozstrzygnięta kwestya ujednostajnienia warunków przyjmowania kobiet do służby w telegrafach kolejowych, oznaczenia ograniczeń ich pracy, wysokości wynagrodzenia itd. (*Gaz. polska*).

Szkoły. Zarząd warszawskiego okręgu naukowego otrzymał podanie o utworzenie w Łodzi progimnazyum żeńskiego.

— W ubiegłym roku szkolnym Warszawa posiadała szkół początkowych męzkich 87, a w nich 4,283 uczniów, 38 szkół żeńskich — 1,737 uczenic. Na utrzymanie tych szkół skarb asygnował 9,200, a miasto 150 tysięcy rubli.

— Na semestr zimowy zapowiedziały trzy uniwersytety szwajcarskie (Bern, Genewa, Neuburg) wykłady prowadzone przez kobiety. W Genewie panna dr. Rodrigue wykładać będzie „Biologię roślin,“ w Neuenburgu pani Żebrowska — „Klasycy niemieccy Klopstock, Kerder“ i Lessing, w Bernie panna Tumarkin „Dzieje estetyki nowoczesnej.“

— Wkrótce mają być otwarte kursy pedagogiczne dla przygotowywania nauczycieli i nauczycielek szkół ludowych. Na początek powstaną one w dwu miejscach: w Piotrkowie przy szkole trzyklasowej miejskiej i w Łęczycy przy seminaryum nauczycielskiem. Na kursy przyjmowani będą kandydaci w wieku najmniej lat 16, którzy ukończyli pomyślnie kurs całkowity w szkole miejskiej lub powiatowej, albo w jakiejkolwiek innej, o odpowiednim zakresie.

Koleje i komunikacye. Na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej wkrótce dokonywane będą praktyczne próby z przyrządem automatycznym, pomysłu technika tutejszego, p. Ignacego Żelazko. Przyrząd ten ma zabezpieczać spotykanie się pociągów, wyprawianych w drogę, a jednocześnie kontrolować zwrotnice stacyjne.

Sprawy ekonomiczne. Na naradach odbytych niedawno w sprawie rewizyi taryf zbożowych wielu przedstawicieli rolnictwa wyraziło obawę, że w jesieni r. b. na kolejach rosyjskich utworzą się wielkie zapasy zboża z powodu braku odpowiedniej ilości wagonów. Dla zaradzenia temu w głównym zarządzie kolejowym utworzono obecnie komisyę, złożoną z przedstawicieli ministeryum komunikacyj, skarbu itd.

Jubileusz. W Petersburgu obchodzono jubileusz 45-letniej działalności pisarskiej słynnego chemika Mendelejewa. Ogłosił on ogółem w tym czasie 140 prac naukowych. Jego znakomite dzieło „Zasady chemii“ przetłomaczono na wszystkie główniejsze języki europejskie.

Zmarli. Bruno Abakanowicz, inżenier, ongi profesor politechniki w Rydze i Lwowie, znany elektrotechnik, szczęśliwy wynalazca różnych lamp łukowych, integrafu, induktora magnetycznego, właściciel wielkiego biura wynalazków w Paryżu,

bardzo ceniony w sferach technicznych Francyi i wogóle Zachodu, autor „Zarysu statyki wykreślnej,“ ur. 1852 w Wilkomierzu, w gub. Kowieńskiej, zm. 30 sierpnia pod Paryżem

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu czy Pani L. B. Artykułu nie podpisanego nie możemy zamieścić. O ile przeszkoda ta zostanie usunięta, chętnie wydrukujemy z pewnemi zmianami uwagi, które w znacznej części wydają nam się słusznemi.

— Komitet Towarz. Zach. Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, iż z funduszu imienia Józefa Simmlera wakuje stypendyum 222 rb. dla młodzieńca rodem z Królestwa Polskiego, bez różnicy wyznania, posiadającego rzeczywisty talent i pragnącego wydoskonalić się w sztuce malarskiej. Stypendyum przyznane będzie temu z kandydatów, który pod okiem delegowanych członków Komitetu Towarzystwa najlepiej wykona studyum olejne z natury, oraz szkic kompozycyi na zadany temat. Ze współubiegających się, jednakowej kwalifikacyi, pierwszeństwo mieć będzie Simmler, krewny zmarłego artysty malarza, Józefa Simmlera. Pragnący ubiegać się o powyższe stypendyum, winni zgłosić się z podaniami na papierze bez stempla do Komitetu Towarzystwa najpóźniej do d. 1 (14) września r. b., z załączeniem metryki urodzenia, świadectwa niezamożności i dobrej konduity, zaś Simmlerowie, oprócz powyższych dowodów—legitymacyi swego pokrewieństwa ze zmarłym artystą malarzem, Józefem Simmlerem.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 24 Августа 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.